
3 1761 08822282 3

OBRAZKI

TEJŻE AUTORKI WYSZŁY:

	Rb.	k.
Poezye. Serya I. II. III. IV. po	1	50
w ozdobnej oprawie . . .	2	40
Poezye w nowym układzie:		
I. Fragmenty	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
II. Helenica	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
III. Pieśni i piosenki	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
IV. Obrazki	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
Dym. — Nasza szkapa. — Głupi Franek. Z ilustracyami S. Sawiczewskiego . .	1	—
w oprawie	1	40
Ludzie i rzeczy. Szkice i obrazki . . .	2	—
Treść: Akwileja. — Na rybaczych lagunach. — Miłosierdzie gminy. — Cmentarz w Awinionie. — Karta z Pawii. — Chodzik. — Z Kolumbowych dni. — Jasełka. — Z Cmentarzy. — Rocznica Marschnera. — Jak w Gorycyi słońce wschodzi. — Jak w Gorycyi słońce zachodzi. — Wędrówka po pracowniach. — O Lenartowiczu.		
Na drodze. Nowele i obrazki	1	50
Treść: U źródła. — Na werendzie. — Na rynku. — W dolinie Skawy. — Na drodze. — Dziady. — Dym. — Józefowa. — Mendel Gdański. — Jakton. — Nasza szkapa. — Głupi Franek.		
Nowele	1	50
Treść: Panna Florentyna. — Stacho Szafarczyk. — Krysta. — Niemczaki. — Ze szkoły. — Z włamaniem. — Maryanna w Brazylii. — Podług księgi. — Jeszcze jeden numer. — Onufer.		
Trzy studya. O komedyi bohaterskiej Edm. Rostanda. — Juliusz II Jul. Klaczki. — Krzyżacy Henryka Sienkiewicza . . .	1	

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

Maria
(MARYA) KONOPNICKA

POEZYE

W NOWYM UKŁADZIE

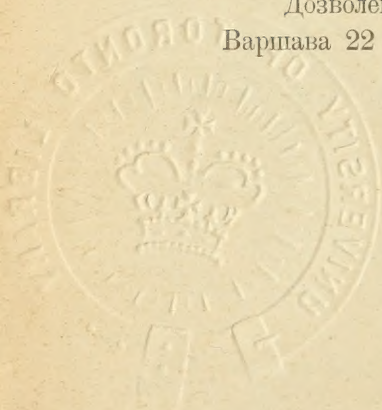
IV

OBRAZKI



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава 22 Сентября 1902 г.



W GÓRACH

I.

PRZYGRYWKA.

Wkoło mnie otoczyły moje równie senne,
Pasmem jednakiem...
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne, —
Umiem być ptakiem!
Błękitna przestrzeń mruga, zaprasza do siebie,
Skrzydeł nie nuży...
Pędzim sobie we trójkę: ja, obłok na niebie,
I listek róży,
Listek najpierwszy upadł na wioskowym kopcu
Cudzej granicy,
Jak rzucone słóweczko drogiemu mi chłopcu
Mdłej obietnicy...
A obłok powiał dalej... Pod słonko się stroi
W biel i we złoto,
Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,
Zadrżał tęsknotą...
Wiatr szarpnął go za szatę, rozrzucił mu włosy,
Toż łzami leci

Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziaduś bosy
I kupka dzieci...
Nie chce odlecieć dalej! Z tej mgły urodzony,
Z oparów rzeki...
Gdzież mu zwiedzać świat obcy, inne jakieś strony,
I kraj daleki?
Więc sama lecę... sama, choć serce mnie boli
I smutno wróży...
Czemuż nie chciał obłoczek podzielić mej doli,
Ni listek róży?
Z obłoczka jabym sobie wieczorem, pod głowę
Zwiła posłanie
A z listka zasię róży — toć czary gotowe
Na zakochanie.
Lecz sina dal pociąga, i wabi, i nęci,
Jak cud nieznany...
Ej! ujrzę raz na oczy insze sianożęci,
Insze kurhany!
Ej! posłyszę ja przecież, jak to ludzie gwarzą
Obcym mi gwarem...
I wypatrzę miesiączek, z jaką wstaje twarzą
Nad cudzym jarem...
I dowiem się raz wreszcie, gdzie tęcza podziewa
Wstążek swych końce,
I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa
Echo mdlejące.

U nas w wiosce znam wszystko... wszystkiegom już
Aż do znudzenia... [syta,
Codzień z za tego wzgórza słońce rankiem świta,
Nic się nie zmienia...
Wiem, gdzie rosną dziewanny, a gdzie niezabudki
W przydrożnym rowie...
Wiem, gdzie szary słowiczek zwił domek malutki
W naszej dąbrowie...
Wiem, gdzie ojciec łan orze, gdzie matka wybiela
Cieniutkie płótna,
Wiem, jak w święto wieczorem grzmi wiejska kapela,
Jak fletnia smutna...
Lasek, cmentarz, kościołek, starego plebana,
Znam już z pamięci...
Tęskno mi! — Hej, pociąga dal sina, nieznana,
Wabi i nęci!

II.

NA DUNAJCU.

Wąziutkie nasze łodzie, przepięte łańcuchem,
Lekko mkną po Dunajcu sennym jakimś ruchem,
I tak modrawą falę przecinają gładko,
Jakby ptastwa wodnego żeglujące stadko...
Z lewej i prawej strony dwie ściany skaliste
Wyciągają się ku nam w cienie długie, mgliste,
A Dunajec drga lekko w migotliwe skręty,
Sunąc, jako wąż w trawie piersiami wygięty.
Wiosło uderza miękko, niby pieszczotliwie,
A człowiek ledwo wierzy, że na ziemi żywie,
Bo świat tam, z drugiej strony, do skał gdzieś przy-
A widok tylko w niebo błękitne otwarty. [party,

Lecz fala w węższy parów głębiej się już wkrawa;
Aż na skrytym «niedźwiedziu»[1]) nagle dęba stawa,

---

[1]) «Niedźwiedziem» nazywają górale stoczony w wodę odłam skały.

Ciska pianę, jak rumak wstrzymany wędzidłem,
I, jako górski orzeł, skałę bije skrzydłem,
I, jak tur, wściekłem czołem dno przepaści bodzie,
I z stromych barków gniewnie zrzuca nasze łodzie,
I w kółko się okręca, i zżyma i krztusi...
Ejże! zwróci się w biegu i niedźwiedzia zdusi! —

Lecz patrz! góry cofnęły swe kamienne czoła...
Zaśmiała się nad brzegiem góralka wesoła,
I kąpiąc w złotym żwirze bose swoje nóżki,
Wbród podaje pachnące groszki i ostróżki...
Zebrała je porankiem, w Leśniczej, na Rusi,
Nim zwiędną, szumnym Laszkom rozprzedać je musi.
A tuż nad nią źródełko żywej wody bije,
Więc czerpie śniadą ręką i do gości pije...
Ej, Dunajcu! rozmarszcz się, jeśli twoja łaska,
I nie mąć odbitego w twej fali obrazka,
Niechże ja się napatrzę tej bosej góralce!

Niedźwiedź już tylko zdala mruczy coś po walce...
Plusnęły wązkie wiosła w lewą, w prawą stronę,
Łodzie się przytuliły, jak ptaki spłoszone,
A cisza rozmarzona, skrzydlata, pieściwa,
Dunajec, nas i góry w swe rąbki okrywa.
Fala niby się modli, jak harfa zaklęta:
To przed dziczą uchodzi nasza Kinga święta,
I stopy swe, znużone podróżą niezwykłą,

Myje w jasnem źródełku, co z skały wynikło...
Orzeł zerwał się z turni, jak tatarska strzała...
Z boku tuli się trwożnie jakaś mniszka biała...
Grzmiąca pogoń kopytem po wierchach rozbrzmiewa,
A za siewcą — łan pszenny w oczach się dojrzewa...

Jak cicho! Róg góralski echa gdzieś potrąca.
Do snu kładzie się fala u brzegów mdlejąca...
Dzwon z Grywałdu roznosi uroczyste dźwięki...
Wtem na skręcie padł wystrzał, a słowa piosenki
Rozigrane, jak kozy skaczące ze skały,
Z łodzią w zieleń przybraną mimo nas leciały...
«Sława!» Rusin przewodnik gromko się okrzyknął.
Plusk i szum się podwoił, potem mdlał, aż zniknął...
Tylko gniewny Dunajec srebrną brózdę gładzi
I długie rozhowory z echem gór prowadzi.

III.

W PORANEK.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny,
Po niebie obłoczek przewija się siny,
Za chwilę, wschodzące
Spromieni go słońce,
I tronem on będzie jutrzence...
Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmierzchy,
Wszedł góral w swej guni, z siekierką, na wierzchy;
Nim dzionek rozbłyśnie,
On zagrzmi, zaświśnie,
I echa rozbudzi w piosence.
O cicho... o cicho! schylony na skale,
Utopił źrenice w powietrza krysztale
I liczy, jak skarby,
Omszone te garby,
Rodzinnych gór swoich przyczoła...
— «Prehyba... Petrańczyk i Wilcze zielone...
Tu moja sadyba i gniazdo rodzone...
Jam z wiatrem tam latał,
I z orłem się bratał,

Znam wszystkie smereki dokoła...
Tu Kunia, Opołta, a tam Koszarisko...
Ej! dalneż to wierchy, choć widzą się blizko!...
Pieniężna, Czerteże,
Gdzie skarbów złe strzeże,
Gdzie rogi nie jęczą pastusze...
Ej, byłoż mi świata po skalne te ściany,
Dopókim nie poznał wietrznicy Marany,
Co miga mi w oczach,
Po łanach, po zboczach,
A śmiechem zabiera mi duszę!...
Wróżyła cyganka: «Złe dnie z Sokolicy!
Ej! nie chodź pod okno Marany wietrznicy,
Bo serce wyśpiewasz,
I Boga zagniewasz,
I pójdzie twa dola na marne!»
Nie chodzić?... A także! Od świtu się włóczę,
Gdzie dziewczę zaplata warkocze swe krucze...
Och! wróżby... wróżbity...
Jam wesół i syty,
Gdy w oczy popatrzę się czarne!
Nie będzie mnie chciała? — Ej znam ja wąwozy,
Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną kozy...
Ot, Rogacz... Homole...
Wybieram, co wolę...
Przepaści, jak śmierć, tam głębokie!

Ej, słońce ty, słońce, pospieszaj ze wschodem,
Bo trudnoż mi z sercem stęsknionem i młodem...
Och! ani pamięta,
Że ziemia ta święta,
A nad nią — jest niebo wysokie!

IV.

NOC.

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jej na skroni szmaragdów koronę,
A kształty jej przepysznie rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperya, mgła lekka owiała.
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,
Mienią się górskie pólka jęczmienia i żyta;
A przepaska Dunajca, modra, falująca,
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.
Nagie ramię kamienne, wyciągnione w górę,
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę,
I, jako karyatyda, strop niebieski dźwiga
Aż blednie i w pomrokach liliowych zastyga.

Cicho! Oto jej księżyc srebrne bajki plecie,
I majaczy tam dziwy niebywałe w świecie...
Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemią
I rade o północy hasają nad ziemią...

Zroszonym mchom rozplata brylantowe włosy
I jako dziwożona, łechce senne wrzosy...
Halny wiatr powiał chłodem... dzwonek się odzywa...
Zbłąkana, za koszarem tęskni owca siwa...
Juhas huknął, po turniach odhuknęły jary...
Gdzieś czujny róg się ozwał, gdzieś drugi do pary,
Okrzyknęły się wierchy, coraz słabiej — ciszej,
Aż ostatni ich odgłos przepaść chyba słyszy...
Zboczem drgnęła kozica w miesięcznej poświacie...
Pomknęła na szczerbinę, stanęła na czacie,
I cicha, lekka, szyję podała w przestworze...
Hej, strzelcze! Hybaj z regli! Zaskoczysz ją może!

Cisza... wioski rusińskie drzemią na siwarze... [1])
Rozbiegane świstaki wabią się po parze.
Watra [2]) gdzieś resztą żaru w oddali przebłyska,
A biały dech z parowu wznosi się w kłębiska...
Dunajec szumny przez sen pluszcze się i gada;
Nad nim stoi w zadumie Sokolica blada...
I dziwnie się do jedna schodzą w nocną ciszę,
Tęsknota, co rozbudza, — spokój, co kołysze.
Kamiennym snem zasnęły Tatry, a nad głową
Zoraną w dziwne brózdy strzałą piorunową,

[1]) Siano.
[2]) Ognisko pasterzy.

Na skrzydłach górskich orłów ciche sny się ważą,
I stare pieśni nucą, stare dzieje gwarzą.

— Słuchaj! To szumi morze spienione i sine...
Przechyl się, jeśliś mężny, i spojrzyj w głębinę!
Czy widzisz? Tam w muszelek drobniutkich koronie,
Najwyższy czub tatrzański w mętnych nurtach tonie...
Wokół skalne przyczoła obsiadły drużyną,
I patrzą w błękit nieba poprzez falę siną,
A zamkniętych w więzieniu twardem, kryształowem,
Rzeki chyba pozdrowią powitania słowem,
I przyniosą im wieści z dalekiego kraju,
I słodkiej wody dadzą, niby korowaju...
Smutno Tatrom wiek płynie! Ciężka jeńców dola!
Choćby ci się wdzięczyły pereł ząbki białe,
Choćby ci koral róże dawał skamieniałe,
Ty zawsze tęsknisz, wzdychasz i szepczesz: «niewola!»
Och, bracie...

— Stój! czy słyszysz huk burzy złowrogi?
Huragany, jak tury, wzięły się za rogi;
Fale wrą, niby lawy arterye płomienne...
Zatrzęsły się przepaści, grom leci po gromie:
Ruszyły się z swych posad wód zręby widomie;
Powięź ziemi zapada w otchłanie bezdenne...
Pożar błyskawic gore... morze pianę ciska,
Cofa się jak odyniec, ze swego łożyska,

Pęka na grzbiecie Tatrów łańcuch kryształowy
Drżąc, pryskają im z ramion przejrzyste okowy...
Ostatnich gromów echem rozgrzmiewają brzegi,
Ostatnie bryzgi morskie lecą, jako śniegi
I do kamiennych skroni przymarzają białe...
A jako z pękniętego pierścienia złuskany,
Podniósł się Krywań siwy i otrząsnął z piany,
I twardą piersią odbił pierwszą słońca strzałę...
. . . .
Hejnał! spłonęły Tatry od posad do szczytu...
Śpią niżnie: gór przyczoła pierwsze dojrzą świtu
I w blaski spromienione, nim zmierzch pierzchnie siny,
Łuną dnia wstającego rozbudzą doliny.
. . . .

V.

NA CZORSZTYNIE.

Oj! zatęsknił Czorsztyn biały
    Na samotnej skale,
Oj, wypuścił wzrok, jak strzały
    Przez Dunajca fale!
Tam na brzegu, jak dziewica
W przeźroczystej bieli,
Pluszcze stopy swe Niedzica,
    W kryształnej kąpieli.
Oj, zmąciła modra woda
    Jasne swoje łoże!
Zakipiała dusza młoda,
    Jako sine morze...
— Lećcie orły, lećcie w swaty,
Przez błękitne tonie!
Niech w jutrzennych zórz szkarłaty
    Luba ma zapłonie...
Zwiń się lesie nad jej czołem
W zielony wianeczek,

Ty Dunajcu zwiń się kołem
W złoty pierścioneczek...
Mgły niech rańtuch jej uprzędą
Powiewny, bieluchny,
Sine wierchy niech jej będą
Za drużby i druchny...
W organ burza niech zahuczy,
Wicher niech zaśpiewa,
Niech rozplecie włos jej kruczy
Błyskawic ulewa...
Niech nam drogę umiatają
Poświstami wiatry,
Niech nam chleb i sól podają
Pieniny i Tatry!
Lećcie orły, proście gości
Na weselne gody:
Mchy siwiutkie od starości,
Żywych źródeł wody,
Drobne, nikłe macierzanki,
Z pod krupiańskich stoków,
Mgły z Leśniczej, zwite w ktanki [1])
I słonko z obłoków!
Górską ścieżkę — tanecznicę,
Górską dziatwę — jodły,
Jasnookie błyskawice,
Coby orszak wiodły...

[1]) Ubiór głowy rusinek.

Gęślarz — echo się odzywa,
Szumi las dokoła...
Sokolico! matko siwa,
Przeżegnaj nam czoła!

VI.

NA SZCZYTACH.

Tatrzańskie stoki w ziołach toną,
I noszą odzież rozkwieconą,
Na mchu stawiają stopy bose,
I traw oddechem piją rosę...

A wyżej kamień nagi błyska,
Szumiące zdroje wrą z urwiska,
Lecąc ożywczą w dół kaskadą,
Z jasnością świeżą, srebrną, bladą...

Szczyt zasię białe pienią śniegi,
Jak puhar, pełen aż po brzegi,
Złamanym błyskiem słońca miga,
I wiecznym chłodem w lód zastyga...

Wędrowiec w niżniach zrywa kwiaty
I piersi krzepi świeżą wonią...
Na połoninie zdrój skrzydlaty,
Jak ptaka w locie chwyta dłonią...

Aż gdy lodowe gór widziadło
Tchem swym zastudzi krew na szczycie,
Wtedy się pyta z twarzą zbladłą:
«Życie! Gdzie jesteś, ciepłe życie?

Wirchy! wy wirchy zamrożone,
Na dyamentową gór koronę,
Posępne siostry czarnej chmury,
Wy nie jesteście sercem góry!...
Prąd, co z rodzinnej bije ziemi
Tętnami młodych sił żywemi,
Wam nie przenika piersi drżeniem
I nie zajmuje krwi płomieniem...
Zastygłe w bieli, nizkim stokom
Ciężycie masą granitową,
I zimną, trupią waszą głową
Dech zamrażacie tym obłokom,
Co deszcz wiosenny ziemi niosą,
I plony pracy krzepią rosą...
Gdy burza siecze wasze ciało
I piorunową kryje szatą, —
Lodowisk waszych płachtę białą
Ponad góralską widzę chatą,
I drżę, i pytam przerażony:
Ach! naco górom te korony?

VII.

RABSZTYN.

Słuchaj mnie, bracie! Nie ta jest ruina,
Co gzemsy swoje usuwa zemdlone
Na białych kolumn głowice pieszczone,
Po których pająk sieć szarą rozpina...
Nie ta, co skrzypi pod twemi stopami,
Dech tłumi pyłem, rdzą surową plami,
Z rąk się wilgotna ślizga, jak gadzina...
Nie ta, gdzie straszy loch czarnemi usty,
Gdzie strop, przyćmiony grobowemi chusty
Pleśni, zaledwie barwy swe wspomina...
Nie ta, gdzie wiązań osłabłe ramiona
Podźwignąć nie chcą baszty, która kona
Boleścią matki nad mogiłą syna...
Nie ta, gdzie duchy pokutne się włóczą
Nie ta, co dziatwę wychowuje kruczą,
Nim wielka orłów wybije godzina...
Gdzie kamień zdradza i z pod nóg ucieka,
Gdzie się zniszczenie w ciało przyobleka,
— Wierz mi, mój bracie, nie ta jest ruina!

Czy widzisz tłum ten, co śmiechem znieważa
Echa drgające w zakątach zamczyska?
Co przybiegł tutaj szukać widowiska,
I z za szkieł groby obliczać cmentarza?
Ten tłum, co nędze swoje i śmieszności
Aż tu, pod słupem dziejowym przeszłości
Rozkłada, nakształt miejskiego kramarza?...
Z myślą, motylej i treści, i wagi,
Palcem dotyka, gdzie skielet drży nagi,
I dźwięki bruków w świątyni powtarza...
Ten tłum, którego piersi nie goreją
Żadnem wspomnieniem, i żadną nadzieją,
Jako wygasłe ognisko nędzarza...
Niezdolen chęci rozdmuchnąć w grom czynu,
Nad gmin wzniesiony, a niższy od gminu,
Wobec tradycyi i wobec ołtarza...
Ten tłum, ze wzruszeń odarty, wyzuty,
Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,
Co szalę dziejów do zguby przeważa,
W którym skrę ducha — grom chyba rozpali, —
Ten jest ruiną!...
— Bracie, pójdźmy dalej!

VIII.

W JAWORKACH.

Ej wy góry, sine góry,
Zaklęte dokoła!
Myśl orlemi leci pióry
Na wasze przyczoła!
I z jaskółką skrzydła macza
W srebrnej rozpadlinie,
Z dziką kozą skok zatacza,
Z echem w dali ginie...

Mnieby zamek mieć kamienny,
Jak Drubażka szumna!
Jar pod koszar, jak Stos senny,
Jak Litenbar — gumna!
Kwiaty rwać mi na Podskalu,
Paprocie na Graniu!
Na Prechybie łzy z opalu
Zbierać o zaraniu...

W niźnie szare już nie wrócę,
    Z orłami polecę...
Z mgły przepaściom mosty rzucę,
    Wzrokiem je rozświecę!
Mchy, stóp ludzkich nieświadome,
    Zgniotę w srebrne ślady...
Pójdę, gdzie błyski znikome
    Wschód rozpala blady!
Skąd ucieka, bijąc w skały,
    Potok rwący, dziki,
Pójdę... Będą mi śpiewały
    Brzęczące kamyki...
Rozbłękitni się nad wodą
    Widnokrąg daleki,
Górkie echa chór zawiodą,
    Zaszumią smereki!

W przepaść rzucę bóle ziemi,
    Myśl skąpię w lazurze,
Z obłokami słonecznemi
    Rozbłysnę się w górze...
Róg mi dajcie! Róg pastuszy, —
    Pieśnią się zabawię...
Niech połowę tęsknej duszy
    W górach tu zostawię!



IX.

NA DUNAJCU.

Lecimy!... on mnie w swoje pochwycił ramiona
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...
A fala, żarem piersi mojej przenikniona,
Modrym słupem bryznęła, aż w niebo, do Boga,
Skrytego za sklepieniem swojem tajemniczem...
Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały,
I potrącił błękity, i powrócił z niczem...

I runęliśmy w przepaść... Najskrytsze szczeliny
Rozdniały od strzał srebrnych, które puścił z sykiem
Dunajec, przez granitów zwalonych odłamy...
I wszystkie przemówiły dziwacznym językiem
Jakiejś pełnej burz, wstrząśnień, przeddziejowej [dramy,
I zaczęły się skarżyć cicho, jako starce,
Którym czci nie wyrządza wnucze pokolenie,
I o których niewdzięczne zapomniały syny...

Precz, łódko! Precz ty, wiosło! Niech w szalone harce
Pochwycą mnie tej fali stalowe pierścienie!

Jak delfin, w modrych toniach spławię grzbiet mój
Czołem rozbiję pianę skroploną na bryzgi, [ślizgi,
I w powietrzu ustami zdmuchnę te opale!...
Ha, co tak wre? — Krew moja, czy Dunajca fale?...

Przylegam do wód piersią, jak strzała do łuku,
Ich pośpiechem zdyszany, ich tętnem kipiący,
Mieszam bezwiedny okrzyk do gromkiego huku,
Od którego brzeg skalny drży, jako reduta,
Ogniem podminowana i dymem zasuta...
Tajne prądy nurtują do dna potok rwący,
Jak pierś moją namiętne, tłumione porywy...
I wyciągam ramiona, jak jeździec tej fali,
I naglę ją do biegu, i chwytam się grzywy
Srebrnej mego rumaka, i pędzimy dalej...
O, dalej!... Chciałbym uciec od brzegów tych ciasnych,
I lecieć tam, gdzie księżyc wschodzi zadumany,
I o rąbki tych chmurek, od gwiazd łuny jasnych,
Oprzeć skrzydła — i spocząć, jak orzeł ścigany!

OBRAZKI

NA PROGU.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo, przed wzruszeniem serca, przyjść do słowa.

Gdzie my od was odbiegli?... Gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem, w górę, poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj — wielcy? — a wy, czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

I.

CO POCZNIE.

Wśród nocy — własne oczy jej świeciły
Zgrozy pochodnią...
Biegła, bo ustać nie miałaby siły
Pod swoją zbrodnią...
Od wichru myśli na głowie jej wstały
Zburzone włosy...
Biegła — jak gdyby poświsty ją gnały,
Lub rózeg ciosy.
Bose jej stopy ślad wgniotły leciuchny,
W śnieg srebrny, świeży,
Aż tam, gdzie śpiący synek jej bieluchny
Pod murem leży...
Gdzież biegnie? — Pójdzież zapytać się rosy,
Czy go wyżywi?
Czy też rwać pocznie stargane swe włosy,
Jak nieszczęśliwi?

Czy pójdzie nocy tej błagać, by cieniem
Czoło jej skryła?
Żeby jej ziemia rzuconym kamieniem
Nie znieważyła?
Czy pójdzie w lasy bić głową o sosny,
Gdzie pustka głucha?
Czy stanie nagle — i w głosek żałosny,
Drżąc, się zasłucha?
Czy pójdzie w góry, co stopy jej krwawić
Zębami poczną?
Czy wróci blada, by dziecię swe zbawić
Przed dolą mroczną?
Czy jak zdeptane stokrocie na łące,
Ugnie swe czoło?
Czy wbije oczy, jak noże płonące,
W ciżbę wesołą?
Czy krzykiem pójdzie rozbudzić potęgi,
Co drzemią senne?
Czy w twarz, z policzkiem, odrzuci przysięgi
Zdrady płomienne?
Czy stanie tutaj, pod niebios pręgierzem,
W błyskawic wstydzie?
Czy pójdzie los swój podzielić ze zwierzem,
I żyć w ohydzie?
Czy, załamawszy ręce, jak Niobe
Tu skamienieje,

I stać tak będzie, aż wieku chorobę
Wyleczą dzieje?
Czy, jak drzewina, gdy robak ją stoczy,
Padnie wśród drogi,
A w prochu zdepcą blask płowych warkoczy
Przechodniów nogi?
Czy prawodawcom ukaże się we śnie,
Jak widmo drżące,
I zbudzi sennych, wołając boleśnie:
«Jest nas tysiące!»
Czy pod mur wróci — i porwie na ręce
Swego chłopczyka?
Czy zacznie szarpać to ciałko dziecięce,
Jak lwica dzika?
Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By cieplej spała dziecinka jej drżąca,
Biały gołąbek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
Bo matki niema?
Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły,
Jak anathema?
Czy poda piersi raz jeszcze przed świtem
Dziecku u łona?
Czy krzyk natury zagłuszy swym zgrzytem,
Padnie i skona?...

O myślicielu! Co pocznie ta matka?
To drobne dziecię?...
Milczysz? — Jak ciemną jest życia zagadka!
Ileż łez w świecie!...

II.

SOBOTNI WIECZÓR.

Od zgrzytającej zębami maszyny
Powstał znużony, z osłupiałem okiem,
W którem się palił płomyk jakiś siny,
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.
O czem miał mówić? — Myśl jego wtłoczona
Pomiędzy koła, i szruby, i piły,
Była tak ciężką, jak jego ramiona,
Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły...
O czem miał mówić? Wszak świata obroty,
Jego pragnienia, i walki i ruchy,
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.
Jak senny przeszedł przez puste warsztaty
Z głową zwieszoną, z obliczem wygasłem,
Aż tam, gdzie kasy okienko z za kraty
Migało wypłat tygodniowych hasłem.
Wokoło gwarnym cisnęli się tłumem
Dnia najemnicy, z zamgloną źrenicą;

A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem
Ponad tych istnień smutną tajemnicą...
Zapłatę swoją wziął w ciżbie ostatni,
I wyszedł, czoło ocierając z potu.
Po dniu spędzonym wśród maszyn łoskotu
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,
Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,
Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,
Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,
Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo...
Stanął w ulicy: na rogu jaskrawy
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie
Głośnej muzyki i hucznej zabawy,
I zapomnienia o każdej swej ranie...
U wejścia para buchnęła gorąca,
Tłum w drzwi otwarte cisnął się nawałem,
A błędny obłok skrzydłem swojem białem
Chwytał przebłyski gasnącego słońca...
Cofnął się młody robotnik z przed progu;
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy,
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy
O wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu...
Jakieś pytania o życiu, o świecie,
Zmąconą falą o duszę mu biły...
On czuł się cząstką i ruchu, i siły,
Lecz nieświadomą i bierną, jak dziecię...
Powiew żywszego, szerszego już prądu

Pchnął myśli jego na głębię od brzegu...
Lecz brakło steru, i w błędnym tym biegu,
Nie umiał dostrzedz przystani i lądu...
Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy,
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków, i klątwy, i krzyki...
Lecz gdzie je znaleść? Ach, gdyby w tym tłumie
Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,
Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,
Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!
Jakżeby chętnie podzielił się biciem
Serca, stwardniałej dłoni swej uściskiem...
Jakżeby chętnie żył, choć chwilę, życiem
Wiedzy, i światła, i prac ducha blizkiem...
Stał tak niepewny, a wrzawa kipiała.
Przed nim szli ludzie... Myślące oblicza,
Siła sympatyi jakiejś tajemnicza
Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...
Z przechodniów owych niejeden zapewne
Kochał lud, myślał o jego oświacie,
I miał dla niego to uczucie rzewne,
Które obcemu nawet mówi: «bracie»...
Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,
Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem?

Przedmiotem czyjej troski i narady
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?...
Czyliż więc dziwno, że wyrobnik blady
Postał, podumał, i poszedł — do szynku.

III.

WOLNY NAJMITA.

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
Między pólkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takiem urągliwem!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywem!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy,
I ziemia we łzach zaledwo wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakiemi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie ciąży na świecie, —
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć, i płakać, i śpiewać, —
Bóg mu przebaczy.

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki,
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosy,
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy,
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? Wszak wolny, jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, — nikt słówka nie powie...
— Wolny najmita!

IV.

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi, —
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się, i wołać: «matko!»
Gdyby miał matkę... i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca... a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący, —
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa,
Wielka, i pusta, i ciemna i chłodna,
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich niemająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę,

Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą,
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: «Gdzie rodzice?»
«Nieznani,» — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Bo oto nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: «Czy w wiosce jest szkoła?
— «Nie». — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem — pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle,
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule...

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy...
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z — miliona...

I ujrzał nagle, że wydziedziczeni,
Za społeczeństwa swego cierpią winy...
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyny...

— «Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien! Czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!» —
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: «Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!»

V.

Z WIEJSKIEJ SZKÓŁKI.

Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, pobladłe, milczące,
Całował cichy.
Lekuchnem drżeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki,
I pęk róż dzikich, i wianek zielony
W głowach trumienki...
Cicho szeleszcząc przez powój i rąbki
Białych firanek,
Nienakarmione wypłaszał gołąbki
Na pusty ganek...
Otwartem oknem jaskółka wleciała
Z pieśnią majową,
I czarnem skrzydłem mignęła, jak strzała,
Nad martwą głową.
Gromnica błyski zimne, jak łzy cudze,
Rzucała drżąca,

Ruchomą plamą czerwieniąc się w smudze
Złotego słońca.
Nikt się nie modlił, nikt we łzach nie klęczał
Przy tej trumience...
Nikt się z tą bladą nie żegnał, nie jęczał,
Złamawszy ręce...
I tylko Chrystus wyciągał ramiona
Z krzyża boleśnie,
I tylko pliszka z gałązki spłoszona,
Nuciła pieśnie...

Nagle z kościołka rozgrzmiały się dzwony,
Przeciągłe, łzawe,
A las zaszumiał w chór sosen zielony
Śmiertelne «ave»...
Na łąki idąc ze świtem i rosą,
Wiejska gromada
Stanęła w progu, ten z sierpem, ów z kosą —
Jako wypada.
Pod przyźbą stoi, oparta pod brodę,
Znachorka siwa,
Wróżąc sąsiadkom na lny ich pogodę,
A deszcz na żniwa...
Młode wieśniaczki z oczyma suchemi
Wzdychają głośno,
A dziad zawodzi, zasiadłszy na ziemi,
Pieśnię żałosną.

Wtem śmiech wybuchnął kaskadą wesołą:
To dziatwa wioski,
Co się zebrała przed pustą dziś szkołą,
Gwarząc bez troski...
Śmierć z swym spokojem ustąpić musiała
Przed życia ruchem...
I tak zasnęła ta cicha i biała,
Wśród obcych duchem.

O lesie ciemny! O smutne wy dzwony!
Kogo żegnacie?
Gdzie jest jej matka? Gdzie ojciec rodzony?
Gdzie bracia w chacie?
— Rodzona matka — to ziemia, co płowy
Plon żyta dała...
— Ojciec rodzony, to lud ten wioskowy...
Tak go kochała!
— Rodzone siostry i bracia rodzeni,
To wiejskie dziatki,
Te, które wiodła do światła od cieni,
Z uczuciem matki.
Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało,
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie,
Przez dobę całą.
Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,

Trwała tak, stojąc na polu jałowem
Z świtu do nocy.
I tylko czasem, pobladła, znużona,
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką...
I tylko czasem szepnęła: «Jak ciemno!
Kiedyż zadnieje?»
Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,
Tracąc nadzieję...
Ach, ona była, jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem...
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha — chlebem...
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wzejdzie słońce.

Dziś stary cieśla w trumienkę sosnową
Zabija ćwieki,
I krzyż zakreśla w powietrzu nad głową
W odjazd daleki...
Ubogi wózek zaskrzypiał na piasku
Samotną drogą,
Przed nim mgła srebrna, a za nim snop blasku, —
Więcej nikogo.

Tylko sierotka żegnała go mała
Smutnem wejrzeniem,
Tylko się róża w ogródku rozwiała
Ostatniem tchnieniem...
Tylko jaskółki za trumną leciały,
Szczebiocąc długo...
I tylko tuman wstał cichy i biały,
Nad modrą strugą.

VI.

BEZ DACHU.

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,
I brylantowych iskier błyskawice
Roztliła w śniegów pościeli.
Kto miał ognisko własne i ramiona
Co go czekały, jak pieszczot ponęta,
Mówił do nocy tej: «Błogosławiona!»
Kto nie miał, mówił: «Przeklęta!»
A takich głosów było, ach! — tysiące...
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...
O gwiazdy, czy Bóg je słyszy?
Patrzycie blade, i ja patrzę blada,
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy, jeśli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę!...

O nocy srebrna! O nocy, królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...

A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą...
O nocy! Czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła?
Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba,
I tylko troszeczkę ciepła!
Ach! gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci..,
I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękicie,
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze...
O nocy! Cicha idziesz, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona,
A twoja srebrna, ciężka, długa szata,
Całunem jest — dla miliona!

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tę mroźną zawieję...
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
Że go ten kamień ogrzeje...
Lecz stróż drzwi zamknął na rygle... I naraz
Łzy się dziecięce, jak perły, rozsnuły...
— «Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras
Dla wszystkich... śledztwo... cyrkuły!»

Chłopczyna odszedł, płacząc. — Tam, w oddali,
Widać świątyni granitowe mury...
A ponad niemi mgła bladych opali,
A wyżej — lodowe chmury
I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem;
W powietrzu, szronów latały dyamenty...
Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty,
Razem, z litością — i z Bogiem.
Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami
I zbierał głodnych, ziębniętych nędzarzy
I tulił u swych ołtarzy.

Skostniałe dziecię szklanemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga;
Chciało się skarżyć, lecz matki już niema,
Mówiło zatem do Boga:
— «Ojcze nasz»... — Jakto, o synu królewski!
Ojca twojego narody zwą Bogiem,
A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski,
Konasz, bez dachu, za progiem?
«Ojcze nasz» mówisz?... A czyim ty bratem?
Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,
I głośnym, pełnych puharów wiwatem
Gasnące jęki twe głuszą?
«Ojcze nasz!»... Boże! czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy zbielałe otwiera?

Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,
I z wiarą taką — umiera!

Dziecię mówiło pacierz... Mgła srebrzysta
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,
Zrazu gorętsza i błękitno biała,
Później — dziwnie przeźroczysta,
Wreszcie zanikła... wpół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi...
Wobec ciemnego, milczącego gmachu,
Dziecię skonało — bez dachu.



VII.

CZY ZGINIE?

Między stosami tłuczonych kamieni,
Na których ludzkie łzy drżały, czy rosa,
Szła wązkim rąbkiem przydrożnej zieleni
Błękitnooka i złocistowłosa.
Drobne serduszko pod nędzną odzieżą
Tak się trzepało, jak ptaszek ukryty,
Szła i wznosiła oczęta w błękity,
Jak ci, co smutni są, a przecież wierzą.
Za nią została z dymami czarnemi
Wioska rodzinna i puste jej pola,
I wiatr, co lata ze świstem nad niemi
I zda się jęczeć i wołać: «niedola!»
Za nią zostały te szmery kojące,
Którymi cisza usypia tęsknotę,
I szumy lasów, i kwiatki te złote,
Co pierwsze wschodzą w przednówek na łące,
I młyn, co huczy, i straszy, i gderze,
I rozbryzgana w jutrzenki i tęcze

Rzeczka, co szepce wieczorne pacierze,
A nocą przędzie mgły srebrne, pajęcze...
Za nią została rodzinna jej chata,
Z której ją bieda wypchnęła za progi,
I szmatek ziemi jałowy, ubogi,
Co rodzi żyto raz w każde trzy lata,
I mały Jasiek, co w zgrzebnej koszuli
Nosi wczorajsze zgłąbiałe ziemniaki,
I Burek, co się tak łasi i tuli,
I wierzby krzywe nad rowem, i krzaki,
I krzyż spróchniały, i stare mogiły,
I zapomniana socha na ugorze,
Przy której ojciec padł kiedyś bez siły,
Czując, że dzieciom chleba nie wyorze...
Wszystko zostało! Aż w piersiach coś boli
I takie krwawe to niebo wieczorne...
Matka trzydniówką odrabia komorne,
A ty, sieroto, idź, szukaj swej doli!
Hej, mocny Boże! Hej mocny Ty Boże!...
Iść ciężko... ciężej umierać od głodu!

Podniosła oczy. Tam, w łunach zachodu,
Stolica gore i kipi, jak morze.
Zda się, że od niej żar bucha i parzy...
Jakieś wołania, i śmiechy, i jęki...
U spodu ciemne mrowisko nędzarzy,
A nad niem nuta rozpustnej piosenki...

Dech przyśpieszony w powietrze uderza,
Zmieszane tłumy prą naprzód i śpieszą...
Na bok, kto nie masz złotego puklerza,
Zgniotą cię, zdepcą, a potem — ośmieszą!

O miasto! wielki żądz steku i brudu,
Co zwodnym blaskiem przywabiasz zdaleka,
Powiedz, co spotka i co tutaj czeka
To ufne, czyste dziecię twego ludu?
Czy pójdzie ono, jak poszło tysiące,
Spodlone, w gorzką poniewierkę losu,
Tak, że ni oczu obrócić na słońce,
Ni się ośmieli podnieść w niebo głosu?
Czy znajdzie w tobie ciche przytulenie,
Jako sierota w braterskiej drużynie?
O miasto wielkie! na swoje sumienie
Bierzesz to dziecię!... Czy zginie?

VIII.

JAŚ NIE DOCZEKAŁ.

W ubogiej izbie gość zjawił się błogi:
Słoneczny promień wiosenny, majowy!
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucił się po ziemi,
Jak złota strzała padł na stół sosnowy,
Na deski starej, spaczonej podłogi,
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska,
Na obraz, który jaskrawie wybłyska
Złocistą glorją w poddaszu nędzarza,
Tak, jakby mógł Ten, co biednych jest Bogiem,
I miłosierdziem, i smutnych odwagą,
Gromadzić skarby u swego ołtarza,
I stać w purpury blaskach i kamieni,
Gdy ludzie głodni, nędzni, opuszczeni,
Korząc się przed nim, biją w pierś swą — nagą!

Był to niedzielny poranek wiośniany.
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą,

U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał...
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem,
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą,
Spojrzał po izbie okiem smętnem, mgławem,
Potem na jasność tę ożywczą słońca,
I szepnął z cichem, stłumionem westchnieniem:
«Jaś — nie doczekał!»
I otarł grubej koszuli rękawem
Łzę, co po twarzy toczyła się drżąca,
I taka mętna, i ciężka, i wielka,
Jakby to wody nie była kropelka,
Lecz kamień, który, wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.

Zima ta ciężka była. Śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białemi skrzydły zakrywszy błękity,
A mroźne wichrów północnych podmuchy
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem,
Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany,
Tak ciężko musi pracować na dzieci,
Wśród skrzących mrozów i wietrznej zamieci!
Zima ta ciężką była. Na kominie
Ogień nie co dnia rozniecał się lichy,

Nie co dnia ciepłą gotowano strawę.
Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery, ni piły,
I padał spocząć, jak martwy, — na ławę...
A Jaś tymczasem, w nędznej koszulinie,
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy,
Nakształt mdlejącej lampy, lub pochodni,
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi,
Patrząc na ojca oczyma smutnemi,
Jak ci, co mówić nie śmią, że są głodni!

Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale,
Ojca witając zdaleka — uśmiechem...
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersiach mu grały i łkania i żale...
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona...
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,
A ściany skrzyły się jak dyamentowe...
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak, perły stały.

Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę,
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. Lekarz, człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,
Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,

Że dziecku trzeba dać lepsze wygody,
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przytem, co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący.
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce.
Wreszcie oświadczył, że mróz — trzaskający!
I wyszedł. — Ojciec stanął, jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące...
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy, i w szyby tak siekał,
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą.
Blada twarz chłopca zrobiła się sina...
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się...: wargi drobne mu zadrgały...
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta,
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą...
Promienia słońca Jaś już nie doczekał!

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy...
Nigdy nie wzniesie dziecięcych swych powiek
Na wielkie cuda tworzącej przyrody,
I nigdy zapał do wiedzy, swobody,
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: «tyś człowiek!»

Ach ileż takich mogił jest na ziemi,
I jakże smutne są takie mogiły!

Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza codzień odbiera jej siły...
Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża, —
To siew bez plonu, rzucony na marno,
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno.
Poprzez mogiły, gdzie śpią te dzieciny,
W milczeniu śmierci przeraźliwem, głuchem,
Ludzkość, uboższa ramieniem i duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał!
O bracia, czy w nas wcale niema winy,
Że słonka — Jaś nie doczekał?



IX.

DWIE WIOSNY.

W starej arkadzie, pod zczerniałą bramą,
Lekko draśnięte skośnym błyskiem słońca,
Głębokie cienie nagle się rzucały,
Jak noc, zraniona ostrzem złotej strzały.
Na tem flamandzkiem tle, objęta ramą
Grubych występów muru i akantów,
Niby obrazek godny dyletantów,
Stała dzieweczka drobna, złotowłosa,
Kształtów znikomych, wybladła i drżąca,
Nędznym łachmanem odziana i bosa.

Dziecko to jeszcze było wiekiem; przecie
W jej zadumanej, zmąconej źrenicy
I w ustach bladych, które bez uśmiechu
Lekko otwarte drgały, w osłupieniu,
Z jakiem się naprzód pochyliła cała,
Znać było, że już niema na tym świecie
Dla tego dziecka żadnej tajemnicy...

Że zna pokusy i nędzy, i grzechu,
I odrętwienie ciemnoty i wlny,
Głodu i chłodu posępne godziny,
I łzy, i krzywdy, i płomień ponury,
Co plami czoła i przegryza ciała,
I czarne piętna wypala w sumieniu...
Że zna już błoto, w którem dusza biała,
Nie mogąc skrzydeł rozwinąć do góry,
Zdawna już szaty swoje pokalała...
I nie jest prostą już, ani dziecinną,
Ale zdeptaną, zabitą — i winną.

A przed nią w wielkim koszu, wśród zieleni,
Wiosenny towar, pełen barw i rosy..
Blade narcyzy, stokrocie puszyste,
Ogromne bratki w fioletach całe,
Dzwoneczki modre, jak jasne niebiosy,
Róże, szkarłatne jedne, drugie białe,
Konwalie smukłe, wonne i śnieżyste
I tulipanów kielichy z płomieni...

Kwiaty te, ledwo wyniknęły z ziemi,
Znalazły światła i ciepła dostatek
I napój rosy ożywczy, perłowy,
I w górę jasne podnosiły głowy
Wśród blasków słońca wschodzących nad niemi...
A tak ich strzegły ogrody i lasy,

Że pory swojej i barw cudnych krasy,
Zwinięty w pączku doszedł każdy kwiatek.

Ale dzieweczkę tę, co stoi biała,
Nędza zrodziła i nędza chowała,
Ulica była jej szorstką mistrzynią...
Życie bezwstydne jest wobec nędzarzy!
Bez łun rumieńca, bez osłon na twarzy,
W swem obnażeniu i w ranach swych stoi,
U pierwszych wrażeń przejrzystych podwoi,
Tak bezpośrednio, jaskrawie i blizko,
Że dziecko, co się rozstało z kołyską,
Wie już, co starcy zniepravieni czynią,
I po imieniu zwać złe się nie boi,
I świat dla niego nie jest już świątynią,
Ni serce ludzkie najczystszym z ołtarzy...

Myślicielowi, co w ranek majowy
Szedł tam milczący, samotny, surowy,
Ważąc łez ciężar, co ziemię przyciska,
Te dwa tak różne, zbliżone zjawiska,
Te dwa odrębne, a pokrewne światy,
Dziecko to zwiędłe i świeże te kwiaty,
Dawały widok smętny i żałosny..,
Spojrzał z boleścią — i szepnął:
«Dwie wiosny!»



Z SZOPKĄ

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą.
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna,
Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można!
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszy
Kiedy w swem życiu, co godnem jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba,
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem,
Lecz wiem, że zdawna uczono batogiem
Odkrywać głowę przed pańskim tym progiem.
Stanęły zbite w gromadkę. Nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi...
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,

Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni,
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdźwięki,
I w jakieś ciche westchnienia i w jęki.

Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugiemi
Stał wpośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosemi,
Umilknął nagle, jak rwące się struny...
I ponad gwiazdą klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: «Czemuto, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?...
Czemu to ludzie w przednowek tak bladną,
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...

Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: «bracia, Chrystus się narodził!»
Czemu?... —

O dziecię! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania...
Och! oby tylko nie wzeszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och! oby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: Czemu?!



NA DNIE PRZEPAŚCI

Tam, skąd anioły odlatują stróże,
Oczy zakrywszy skrzydłami białemi,
Gdzie jest najkrwawsza z ran krwawych tej ziemi,
Gdzie w żarach więdną jednodniowe róże,
Gdzie hańba zciera na upadku progu,
Z czół młodocianych jasne ducha piętna,
Gdzie jest noc zawsze, noc ciężka, noc smętna,
W którą nikt nie śni o świcie, o Bogu, —
W jaskrawym blasku, co rzuca się złoty
Na wstrętne ściany i ohydne sprzęty,
I drży, jak gdyby przerażeniem zjęty,
Nędzne, nieszczęsne, zeszły się istoty.

Wpośród nich stanął grajek ślepy, siwy,
Co miał wesoło przygrywać do balu...
Córka mu dzisiaj skonała w szpitalu,
W oczach miał ogień i krew... Nieszczęśliwy
Tak się w tej swojej pogrążył boleści,
Że gdy strun zeschła dotknęła się ręka,
Pełna łez, żalów i westchnień piosenka
Jak ptak wzleciała w tem miejscu bezcześci,

I wielkim duszy rozległa się krzykiem,
Wstrząsając ściany te z ogromną siłą,
I przemówiła boleści językiem,
Jakoby skarga nad świeżą mogiłą...
I tak rozniosła się, jak wichrów szumy,
I jako grzmiące w świątyni organy
I znowu cichła wśród smętnej zadumy,
Jako tęsknoty jęk powstrzymywany...
I rozsypała się srebrnymi tony,
Jak rosa, która polne róże poi...
I zaszumiała, jako las zielony,
Co we mgłach kędyś zadumany stoi...
I tak, jak strumień popłynęła cichy,
Co niesie łąkom łzy swoje perłowe...
I zadzwoniła, jak białe kielichy
Leśnej konwalji w poranki majowe...
Cisza... Nikt nie śmie przerwać dziwnej pieśni...
Piersi westchnieniem podnoszą się głuchem;
Tak więzień wstrząsa przez sen swym łańcuchem,
Gdy śni swobodę wśród więziennej pleśni.
Jakieś wzruszenie, dawno niezaznane,
Przyśpiesza serc tych obumarłych bicia...
Co utracone, co było kochane,
Budzi się w piersiach i wstaje do życia.
Na ustach niema sztucznego uśmiechu,
Który tam widniał, jak znak potępienia...
Wzrok, co przed chwilą miał zuchwalstwo grzechu,

W spuszczonych rzęsach szuka sobie cienia...
Cisza... Pieśń leci, jak odgłos nędz ziemi,
W westchnienia, jęki i skargi rozbity,
I wstrząsa ciche i senne błękity,
I płacze, jakby łzami gorącemi,
I gaśnie, niby konające tchnienia,
W coraz to cichsze rozłamana dźwięki.

Wtem naraz, wpośród smętnego milczenia,
Zabrzmiała nuta znajomej piosenki...
Lud ją nasz śpiewa w biednych swoich chatach,
Powiewy wiosny roznoszą jej echa,
Matka się przy niej do dziecka uśmiecha,
Skowronki gubią ją na polnych kwiatach...
Piosenka prosta, znana. Nieszczęśliwe,
Ślepego grajka otoczyły kołem,
A głosy ciche zrazu i trwożliwe,
W chór się złączyły i uniosły społem...
Nędzne śpiewaczki, wzruszone i drżące,
Znów odzyskały na jedną godzinę
Niewinność serca, i dom, i rodzinę,
I spokój duszy, i Boga, i słońce!

W pośrodku sali stało dziewczę blade,
W tył przechyliwszy drobną swoją głowę,
A włosy bujne, rozwiane i płowe,
Obejmowały ją w złotą kaskadę.

Przymknęła oczy, jak ptaszę zmęczone,
W nucie piosenki utopiona cała...
— Ach! to jej strony, jej strony rodzone!
Wioska pod lasem i chata w niej biała...
I siwy ojciec, piast siwy tej wioski,
I matka stara, co lny przędąc cienkie,
Głosem, złamanym przez lata i troski,
Tę samą niegdyś śpiewała piosenkę...
To zapach siana, to kwiecie tarniny,
To na rozstaju pod borem mogiła...
To dym nad chatą wijący się, siny...
Studnia z żórawiem, skąd wodę nosiła...
Pole i miedza, i struga, i grusza,
I polne maki jaskrawo kwitnące...
I staw, jak modry pierścień, wpośród ziela...
To dzwon niedzielny, to wiejska kapela...
Ach, to jej Janek! To druga jej dusza! —
Śpiewa... W pamięci błyska jak cień krwawy,
Panicz — sokolik z białego tam dworu...
I las, i łąki pachnące otawy,
I pocałunków szmer... i szept wieczoru...
I chłodna nocka... i taka woń świeża...

Z przymkniętych oczu łzy lecą gorące...
Ktoś wszedł. Do balu podano wnet hasło.
Wstrzęsło się dziewczę; śmiech ostry i suchy
Z drobnych ust wybiegł... zwinęła w kłąb włosy

Ruchem bachantki... widzenie zagasło...
Umilkły w piersiach śpiewające głosy,
I wszystkie dobre rzuciły ją duchy...
I pierwsza padła w objęcia tancerza.



CHŁOPSKIE SERCE

W tłumie, na mrozie, stanęła pod ścianą,
Okryta starą mężowską sukmaną.

Posępna rzecz jest, ta siwa siermięga,
Przesiąkła potem i łzami, i zdarta
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła, żadną ożywczą nadzieją...
I smętna rzecz jest, i zadumy warta,
I sama w sobie taka żałośliwa,
Jakby nie łachman, ale rana żywa
Na narodowem ciele się krwawiąca...
Kiedyś, gdy wichry i burze przewieją,
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,
O tej siermiędze mówić będą w świecie,
I zwać jej dzieje ludu epopeją...
I może wtedy, nawet my, my sami,
Wśród narodowych skarbów i pamiątek,
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy — i oblewać łzami!

Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha...
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka była posępna i cicha,
I tylko usta zacięte, drgające,
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny,
I bić w niebiosa, i wstrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.

Sąsiad przemówił do niej: «Pochwalony!»
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym...
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzyła na drzwi zamknięte, przed siebie.

O pochwalony! O błogosławiony
Bądź ty mi, Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystkie gryzące łzy troski i bólu,

Co żłobią brózdy wśród zwiędłych tych twarzy...
O! pochwalony bądź, boleści Królu!

Z trzaskiem otwarto drzwi sali: W natłoku
On jeden tylko jest widny jej oku...
Jej Jasiek!... dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe,
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany...
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu. Był gibszy i bladszy,
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły...
— «O matko!» — «Nie płacz! pan Jezus przemieni...
Tyś głodny; weź to, posil się na drogę»...
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: «Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!»... Jak chusta zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

A wtem wydano ostatnie rozkazy.
Marsz zabrzmiał. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów, i chaty, i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty...
— Hej!... nie zobaczyć już tego w żołnierce! —
Powstał zgiełk, lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,

Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą iść miały rekruty...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— «Dziecko!...» krzyknęła raz tylko i zbladła,
I zatoczyła się — i martwa padła...
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

WICHREM PORWANY

Jest jedno cudne wśród ludu podanie,
O którem słysząc, gubiłam w przestrzeni
Wzrok smutny, jak ci, co napół uśpieni
Wpadają w ciche, błękitne dumanie.
I zdało mi się, że widzę w oddali
Góralską wioskę, tę wioskę prostaczą,
Co przechowała dawną, żywą wiarę,
Co na swych krzyżach chusty wiesza stare,
A na obrazach swych sznury korali
I wstęgi kraśne, i kwiaty, i zioła,
A na swych piersiach szkaplerze czerwone,
Które je piętnem płomienistem znaczą,
A serce swoje trzyma zawieszone —
Czyste i jasne — aż na niebios progu,
Jak votum srebrne w ołtarzu kościoła,
Prostej roboty, ale dane — Bogu.

Wioska tuliła się w głębokim jarze,
Na macierzankach, wrzosach i mchach cała...
A widok miała — aż na dwa błękity:
Na skrawek nieba, gdzie jutrznia różana

Budziła pierwsze liljowe rozświty,
Rozpłomieniając, jak złote ołtarze,
Występy skalnych ścian i nagie szczyty —
I na ten potok, skąd wodę czerpała
Każdego zmierzchu i każdego rana,
I kędy także drżał błękit odbity.

Naraz nad wioską zrobiło się czarno...
Chmury nadbiegły czeredą niekarną
I ołowiane skrzydła swe rozniosły
Ponad wąwozem, jako burzy posły...
Ogromnym hukiem zatrzęsły się skały
I jako działa salwy podawały,
A grzmiąc aż w głębi kamiennej posady,
Zgrozą płoszyły dzień drżący i blady.

I zdało mi się, że widzę lecącą
Na czarnych barkach wielkich nocnych ptaków,
Z stalowym biczem skręconej w sznur wody,
Ze złotą wstęgą wplecioną we włosy,
Burzę upalną, szaloną, kipiącą,
Która rzuciwszy z cuglami swe dłonie
Na wolę swoich powietrznych rumaków,
I gdzieś na szczycie skalnym, nad Bieszczadem,
Sznur pereł białym rozsypawszy gradem,
W jaskrawych błysków królewskiej koronie

Przelatywała strwożone niebiosy,
Jak amazonka przyrody.

Dwoma szczytami chwycony i wparty
W sam gardziel jaru, korowód straszliwy
Miotał się, jako w ostępie zwierz dziki,
Któremu w żebra nóż wbije myśliwy.
Wiatry śmigały, jak spuszczone charty,
A błyskawice — jak sokoły lotne;
A gromy, nakształt rogowej muzyki,
Niosły pobudkę przez wirchy samotne...
Nagle ucichło wszystko. — Burza miewa
Takie omdlenia wściekłości złowieszcze,
Po których z siłą zdwojoną wybucha...
Przestają wtedy giąć się z szumem drzewa,
Srebrnemi skrzydły przestają bić deszcze,
Ziemia umilka, i bez tchu, drżąc, słucha.

W ciszy tej, leci kędyś z biednej wioski
Głos niepokoju, głos trwogi i troski.
Niewiasty w chatach, tuląc dziatwę małą,
Szepcą pacierze do Marji Dziewicy;
I w sinem, trupiem świetle błyskawicy
Schylają głowy: «A słowo się stało!»

Wtem nagle krzyk się rozległ przeraźliwy!
Zmieszane głosy i płacz drobnych dzieci

Biją w niebiosy, jakoby dzwon żywy...
Góral, co zawisł u skalnej szczeliny,
Gdzie ledwo orzeł śmie gniazdo pomieścić,
Chwycony siłą gwałtownego prądu,
Miota się, wichrem niesiony przez chmury,
Wśród kiru niebios i błysków purpury,
I huraganu szalonej zamieci,
Skręconej w trąbę, na której dzień sądu
Archanioł mógłby przepaściom obwieścić,
Tak godną była miejsca i godziny!

Napróżno woła i wyciąga ręce,
Patrząc na wioskę i na dach swój stary...
Próżno się z burzą, jak z wrogiem, szamoce...
Próżno błyskawic dusi złote węże,
I czarne chmury porywa za bary,
I pięścią wiry huraganu grzmoce...
On nigdy, nigdy ziemi nie dosięże
I z wichrem latać będzie w wiecznej męce!

Ostatnie słowa baśni tej nad głową
Przewiały, jakby echo konające
Poza ostatnią chmurą piorunową,
Kiedy już tęcza rozwiewa wstęg końce...
Ja słucham jeszcze — i tonę w zadumie...
— Ach! czemuż, burzą tęsknoty porwana,
I uniesiona przez wichrów podmuchy,

W wiecznej pogoni za widmem znikomem,
W namiętnych marzeń i porywów szumie,
Jako żaklęte latać muszę duchy,
Ponad tą ziemią, która mi jest domem...
I wiecznie pragnąć, i wiecznie się smucić,
I tak się trawić, jak płomień skrzydlaty...
Czemu nie mogę spocząć, ani wrócić
Do mojej wioski i do mojej chaty?...



U OKIENKA

W chacie u mego siedzę okienka,
Cieniuchną nitkę wysnuwa ręka,
Przedemną kądziel siwa, brodata,
A oczy — lecą na koniec świata!

Z mego okienka widać niemało,
Byle się tylko patrzeć umiało,
Byle tchem ciepłym, od wnętrza chaty,
Odchuchać srebrne na szybach kwiaty...

W lewo i w prawo widać szmat nieba,
I tylko oczy podnieść potrzeba,
Żeby zobaczyć, wśród gwiazd tysiąca,
Cości wielkiego... cości bez końca!...

Choć w szybce otwór taki malutki,
Choć mgła się nad nim wiesza, jak smutki,
Choć rosa stoi w perłach, jak łezki,
Widać het!... cały pałac niebieski!

A kiedy wiosną kogut zapieje,
Kiedy w słoneczku wioska odnieje,
To taka jasność uderzy potem,
Jakby kto chatę potrząsnął złotem...

I widać wtedy z mego okienka,
Jak się u brzegu chwieją czółenka,
Jak ta Wisełka, ta modra nasza,
Flisów do drogi z sobą zaprasza...

Wiosce tam wielkiej wody nie trzeba;
Młynek na strudze dość zmiele chleba...
A nieraz przecie myślę: moc boża,
Że nasza Wisła idzie do morza!

Idzie i szumem po świecie gada,
Jak się tu u nas sprawia gromada...
I niesie — Bóg sam wie, jak daleko
Tratwy, i pieśnie, i łzy, co cieką...

Z mego okienka widać na lewo
Ogromne, stare, spróchniałe drzewo,
Co, powiadają, zakwitnie wtedy,
Jak już na świecie nie będzie biedy,

Ni ludzkiej krzywdy, ni poniewierki,
Ani wojenki, ani żołnierki,

Gdy każdy w własnej chacie zasiędzie
I wszystkich braćmi nazywać będzie...

Jaćbym tam temu nie była krzywa!
Chce się zwać bratem, niech się nazywa...
Byleby tylko Jaśka w Dąbrowie
Dali inaczej wołać ojcowie!...

A tam na prawo, gdzie boża męka,
Widać het, pole z mego okienka...
Po miedzy tatuś w zamysłach chodzi:
Czy też zarodzi?.. czy nie zarodzi?...

Oj, głód — to straszna jest kara nieba...
Ojcze nasz, daj nam czarnego chleba!
Zapal nam słonko najświętszą ręką
I rzuć promyczek w każde okienko!



JESIENIĄ

Szare ptaszyny, szare ptaszyny
W łunie zachodu lecą!..
Ostatnie złote słońca kruszyny
Na ich skrzydełkach świecą...
Za sine morze, jak czarna chmurka,
W kraj świata mkną, daleko!..
A w locie gubią pstre swoje piórka,
Nad oną modrą rzeką...
Oj, wy ptaszyny! pewno nie znacie,
Naszej bielonej chaty,
Ani ogródka mego przy chacie,
Gdzie kwitną krasne kwiaty...
Pewno nie znacie mego dziadula,
Co z lipy łyżki struże...
I plastry miodu wybiera z ula,
Ot takie słodkie, duże...
Pewno nie znacie tej dzikiej gruszy,
Szumiącej w drobne liście...
Ani Stasieńka, co gra od duszy,
Tęskliwie, a ogniście...
Pewno nie znacie mgieł tych, co z rana
Po łąkach tak się włoką,





Że trzeba w srebrze brnąć po kolana,
Jak tylko zajrzy oko...
Ani tej tęczy, co ziemi sięga,
Na pańskim, het, folwarku,
Jak najognistsza w kolory wstęga,
Kupiona na jarmarku...
Ani tej sosny, co rośnie krzywa,
W niezdartej swej opończy,
I jeno z wiatrem gałęźmi kiwa
I białą smółkę sączy...
Ani tej naszej grobli nad rzeką,
Huczącą gdyby żarna,
Gdy z niej po żwirach kropelki cieką,
Jak rozsypane ziarna...
Ani tej łąki, gdzie pachnie siano
Grabione przede żniwy...
Ani ugoru, gdzie gna co rano
Owieczki owczarz siwy...
Ani tych dymów, co się tam ścielą,
Jesienną wróżąc słotę...
Ani taneczka z huczną kapelą,
Ludziskom na ochotę...
Ani tej zorzy, co het za górką,
Na wyścig ze mną wstaje...
A tak się śpieszy przyjść na podwórko,
Aż mnie matusia łaje!...

Ani miesiączka tego jasnego,
Co się tak patrzy, blady,
Aż się coś dzieje w sercu dziwnego,
Choć płakać!... ani rady!...
Pewno nie znacie tego przełazka,
Kędy po wodę chodzę,
A Stacho do mnie, jak do obrazka,
Modli się tam, przy drodze...
Ani tych dzwonów z kościelnej wieży,
Co we mgłach kędyś toną...
Ani mogiłki, gdzie tatuś leży,
Pod darnią, pod zieloną...
Ani tej pieśni, co płynie rzewna,
Przy krosnach, u ogniska,
Kiedy łuczywo z smolnego drewna
Iskrami wkoło pryska...
Ani tej nocki, co wstaje biała,
W złocistych gwiazd koronie,
Patrzeć, czy rosa już rozsypała
Sznur pereł po zagonie...
Ani tej ciszy, co w chaty progu
Z palcem na ustach siada,
I słucha kto się poleca Bogu,
Kto krzyż na czoło wkłada...
Ani świerszczyka, co przy kominie
Ćwierka, schowany w dachu...

Ani snów dziwnych o rozmarynie,
O drużkach... to o Stachu...
Bo gdzieżby wam też, mocny mój Boże!
Na głody, chłody, troski,
Za siódmą górę, za siódme morze,
Od takiej lecieć wioski!



JASKÓŁKA

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci,
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty bosa, gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach, śpiesz się dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą,
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato, całując twe czółko,
Smagłością nie przyćmi urody.
Hej, chłopcze tęskniący, śledź bystrem spojrzeniem
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,
Tam w późne dosiewki szlij swata z pierścieniem,
A w zapust wyprawiaj wesele!
Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem,
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzonem
Nawijaj, nawijaj u kółka;

A kiedy jesienią zaświecisz łuczywo
 I siędziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
 I równa, i mocna, i cienka.
Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga
 Pod przyzbą, na ławie dębowej,
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
 Jaskółka ten roczek, ten nowy!
Ach, leci!... ach, leci! powraca z za morza
 Do naszej wioskowej zagrody,
I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
 I łąki, i pola, i wody.



— «Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słychać nowego? czy zdrowi? czy cali?
Czy żyją staruszki jak jabłoń zsiwiali?
A Kasie, Maciusie czy rosną?
Ach! cóżto?... te same jak widzę, kłopoty
 I bieda, jak była przed laty!
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
 I dach się zapada garbaty!
Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
 A ściany się krzywią i paczą,

Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
    Lecz nędzną gospodą tułaczą.
Na twarzach znękanie i niechęć, i troski,
    Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,
Na dzikim ugorze zbujałe, wśród wioski,
    Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją
    Wiosennych błękitów i słońca;
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
I wichry lodowe czatują z zawieją,
    Tu zima i zima bez końca!
Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
    Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
    I ludby się zbudził — narodem»!



— «O, spojrzyj! o, spojrzyj! to pierwsza jaskółka
    Pod gzymsem w skrzydełka trzepoce...
I w okna zagląda, i zwija się w kółka,
    I o coś się pyta, szczebioce...
Toż wiosna już! wiosna!... za tydzień, za drugi
    Mieć będę z fijołków bukiety...

Czy w polu już sieją?... czy orzą już pługi?»
    — «Najdroższa, czytajmy gazety».



— «O panie! o pani! słoneczko kwietniowe
    Przyświeca tak jasno, tak ładnie...
Czyż żaden płomyczek na główki, na płowe
    Wioskowych pacholąt nie padnie?
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
    U okien skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
    Wieściami powitać dobremi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
    Pod strzechą szczęśliwą, wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
    Jak chryzmem, na życie naznaczą?» —



— «Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą;
    Myśl moja ucieka z jaskółką,
I leci nad wioskę odartą i nagą...
    Mój drogi! zajmijmy się szkółką!
Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,
    Wszak kraj do ich czynów ma prawa»...

— «Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!» —



— «O panie! o pani! za morzem, za sinem,
Plon myśli runieje, dojrzewa...
I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,
I wzorem, nie radą zagrzewa.
Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy,
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!»



— «Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?...
Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem,
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?
O myśl tę zmąconą, niejasną?

Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
    Wymierzać nam niemoc swą własną?
Posłuchaj mnie, drogi! Czyż tyle już trudu,
    Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
    Łaknącym zdrowego dać chleba?» —
— «Co?... Może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
    Z poczciwym Kiszotem w zawody?
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,
    Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
    Nauczać z niej ludek, jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
    Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opłacą,
    Gdzie wille, gdzie fermy, szalety,
Lecz chłopu naszemu?... Jak, po co i na co?...
    Daj pokój!... Czytajmy gazety». —



— O słonko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
    Rozbudzić się ze snu nie może...
O, więcej daj światła! i więcej daj ciepła!
    I rosy ożywczej, o Boże!



DO GRANICY

— Zaparli chałupę,
I «befel» gwoździem do wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili
Jak ten wróbelek — dźwignęłam na ręce,
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...
— Patrzę — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny, i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na oną drogę smętną...
— Szłyśmy razem
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą.
Za nami, pobok, straże konne jadą,
I klną, i dziatwę drobną biją płazem,
Nagląc do drogi...

— Byłaż to godzina!...
Rodząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli,
I z trzech stron słońca — zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą...
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby...
Jezu Ty Chryste!...
— Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiszniowe,
Na wdowią rolę trójpotem zroszoną...
A ta mi strzecha stanęła jak złota
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra... A wszystko od płota,
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się jakby było żywe,
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy... A choć w trawie stała,
Nie posięgnęła się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się, a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...

— Dziw żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła!... Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie,
Między tych matek żałosnym narodem...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...
— A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca...
Więc że jej stare nie służyły nogi,
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz... Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało
Jak w Weroniki chuście, i zostało

Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona -
Pod okiem Boga — do ziemi tej łona.

Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu...
— Dalej! Dalej!...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rostaju był krzyż. Więc się owe
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły...
A gwiazdy weszły na niebo czerwone
Jak krwawe boże łzy — i tak świeciły.

...O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę,
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone?...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?...
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
Myż tylko sami, pomiędzy wszystkiemi
Mamy być wieczni tułacze?...
. . . .

Ustał płacz niewiast, i tylko się z cicha
Tu, owdzie, łkanie stłumione zaniesie,
A las w oddali, to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał, i o coś się pytał...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie,
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i Tato!...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili.
Precz mi kazali bieżeć za innemi...» —
I jak to kurczę głowinę pochyli
Na bok, i do snu skuli się na ziemi...
Więc ją fartuchem okryłam, i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam,
. . . .
Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły.

Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci...
A było już ich, jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku, i poszedł w olszynie
Cudzej, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

. . . .

. . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze,
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały

Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krżywdy naszej i żałoby...
. . . .
. . , ...

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno.
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem...
A jestem dzisiaj porażona gromem,
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swojem cieszyła mi duszę...
. , ...
A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę...
. . . .

ZDALEKA

I.

Zbliska widziałam łzy wasze i troski,
Zbliska waszego serca czułam bicie;
Zbliska znam nędze i miasta, i wioski,
I rany wasze, i życie.

Zbliska znam sny te, co się nam prześniły,
Tęsknoty, żale, i klątwy, i zgrzyty,
I zbliska także wiem, że brak nam siły
Z przepaści wzbić się na szczyty.

Zbliska słabości znam nasze i winy,
I te złudzenia, co czynią z nas śpiące,
Wśród ruchu wielkiej przebudzeń godziny,
Choć dawno wzeszło już słońce!

Na to, co dzieli nas i łamie w dwoje,
I od wspólnego odtrąca ogniska,
Na nienawiści i na niepokoje
Patrzałam długo — i zbliska.

A teraz oczy moje są zmęczone
Od łez — i droga moja w mgły ucieka...
Idę odpocząć w nieznaną gdzieś stronę,
I patrzeć na was — zdaleka.

II.

Szumiące zdroje, przepaściste zdroje,
Co z głośną skargą niesiecie swe brzemię,
I nienawiści, i gorycze swoje
Z pianą wściekłości ciskacie o ziemię,
Szumiące zdroje, o jakże wam błogo
Rzucać się w kaskad namiętne wybuchy
I przelatywać po szczytach, jak duchy,
Które nie mają nad sobą nikogo!

Jakże wam błogo! Lecz jest kraj daleki,
Gdzie cicho płyną potoki i rzeki,
I nurty swoje, niby łzy tajone,
Toczą milczące, smętne, przerażone...
Tęskne ich szumy, ich szepty tułacze
Słyszą tam ludzie przez sen, przez przeczucie,
I własne bóle zgadują w tej nucie
Stłumionej, która u brzegów gdzieś płacze...



III.

Nieraz pytam się w duszy: czy ja kocham ludzi?
I długo się zamyślam — i nie śmiem wznieść powiek.
— O, tak! kocham ich. — Przecież, jeżeli się zdarzy,
Że mnie ktoś zmęczy, zgorszy, zasmuci i znudzi,
Rumieniec zawstydzenia wybije na twarzy,
Odbierze wiarę w przyszłość, sny spłoszy różowe,
Słowa pełne łez wrzących nauczy kłaść w mowę,
I serce mi nakarmi jadami gorzkiemi;
To nie ptak ten, co leci, i nie kwiat z tej ziemi,
Nie żaden kamień nawet — ale zawsze człowiek!



IV.

Ty tutaj, słonko? A kto tam świeci
Nad wioską naszą lichą?
Kto ze snu budzi kwiaty i dzieci,
W poranną zorzę cichą?
Kto rzuca w naszą strugę na łące,
Co płynie wstęgą siną,
Złote iskierki, lekko tańczące
Między zieloną trzciną?
Kto ciche światło sieje po lesie,
Przez szmaragdowe sita?
Kto nad sierotą promyczek niesie,
Kiedy o drogę pyta?
Kto tam na polu wyzłaca kłosy?
Kto lny u płotów suszy?
Kto pije z białych powojów rosy,
A smutek z chłopskiej duszy?
Kto tam, o słonko moje, za ciebie
Nad biedą naszą świeci?
Kto tam na wiejskim cichym pogrzebie
Pochodnie darmo nieci?

Kto na te krzyże i na mogiły
Jasne promienie kładnie,
Gdzie już łzy z oczu — rosy wypiły,
W wilgotnej ziemi, na dnie?
Kto tam na krosna, pomiędzy lniane
Włókienka, złoto ciska,
Że jak się wpatrzysz w chłopską sukmanę,
To ci z niej słonkiem błyska?
Kto w one ciche ranki na łące
Wybiela zgrzebne płótno,
Kiedy pod lasem echo tęskniące
Niesie piosenkę smutną?
O słonko moje! kto tam o świcie
Rozwija skrzydła ptasze?
Kto nam maluje bławatki w życie?
Patrzy w okienka nasze?
Kto na jabłoni owoc zapala,
Roztula jaskry złote?
Kto o zachodzie serce rozżala
W przedseńnych dum tęsknotę?
Kto złoci siwą dziadusia głowę,
Gdy dawne czasy roi?
Kto z mgły wilgotnej budzi dąbrowę?
Kto nam fujarki stroi?
Kto iskry krzesze ogniste w stali,
Kiedy chłop śmiga kosą?

Kto się przegląda w sznurach korali,
    Gdy Kasia idzie boso?
Kto w pawiem piórku oczko rozżarza
    U czapki Jaśka mego?
Kto jest jedynem złotem nędzarza,
    Jedynem światłem jego?

O słonko moje! wracaj po niebie
    Do miłej naszej wioski!
Bo tam jej przyjdzie zmarnieć bez ciebie,
    Od tęsknot i od troski.



V.

Jako ten jeleń, co lecąc do zdroju,
Z dyamentów rosy otrząsa krzew młody,
Do żywych źródeł tęskni dusza moja,
Do żywej wody!

Pragnę i jestem, jak trawa mdlejąca,
Na posieczysku skwarnem rozesłana,
Którą źrenica rozogniona słońca
Pali od rana.

A gdzie strumienie, a gdzie są te rzeki,
Co mnie napoją w porannych zórz ciszy?
Jako huk morza, tak huk ich daleki
Ucho me słyszy!

Z gór wielkich spłyną, jak płaszcze błękitu,
Przybiorą z jarów i źródlisk tajemnych,
I w pierwszych blaskach nowego rozświtu
Napoją ciemnych.

I srebrnem skrzydłem uderzą o gmachy
Spróchniałe w sobie, stojące bez duszy,
I pójdą dreszczem po ludach przestrachy
I grom je ruszy.

A zaś na pola i łąki uderzą,
Gdzie siew przyszłości przysuły mdłe pyły;
I zielonością rozkwitną nam świeżą,
Stare mogiły.

I precz poniosą, aż w ocean siny,
Fale łez ludzkich — i krwi ludzkiej rzeki;
I nowe światy powstaną z głębiny,
I nowe wieki.

VI.

Wieczorny dzwon, wieczorny dzwon
    Pochwycił duszę moją
I uniósł ją do lubych stron,
    Gdzie gwiazdy we łzach stoją!
Tam z łąk i pól, tam z łąk i pól,
    Westchnienie ciche leci,
I piersi żar, i męski ból,
    W mokrych źrenicach świeci...
Rozwiał się czar, rozwiał się czar,
    Co trzymał mnie w zachwycie,
U stóp tych skał, olbrzymich mar,
    Stojących w mgły błękicie!
Wskróś rzek i gór, wskróś rzek i gór,
    Czuję cię, wiosko droga!
I słyszę twój szumiący bór,
    I widzę krzyż u proga,
I łzy i znój, i łzy i znój,
    Co cię od wieków poją...
O kraju mój, o kraju mój!
    Znów jestem twoją, twoją!...



VII.

Zgubionej w cichym i samotnym lesie,
O! jakże mi się wydają nędznemi
Walki, rozterki i burze tej ziemi,
Które tam w dole wiatr niesie!

Sprzeczne dnia hasła ni o jedno tętno
Nie przyśpieszają serca mego bicia;
Falą przedsenną, falą beznamiętną,
Uderza we mnie puls życia.

Nad leśnym kwiatem schylam się marząca,
I wywróconych dębów depcę trony,
I słucham pieśni, którą ptak natchniony
W błękitach śpiewa dla słońca.

Na ścieżce mojej tańczą iskry złote,
Wśród szmaragdowych mchów; różowe wrzosy,
Trącone stopą, strząsają deszcz rosy;
W powietrzu czuję tęsknotę.

Czy są gdzie ludzie — nie wiem, i nie pomnę
Ni ich miłości, ni ich nienawiści.
W świątynie ciszy wstępuję ogromne,
Z zielonych bluszczów i liści...

Samotność żarem na lica mi bije...
Po drzewach idą szelesty i dreszcze...
Ach! czy ja żyłam dotychczas? Czy żyję?
Czy będę kiedy żyć jeszcze?

Za cichem szczęściem wyciągam ramiona...
Czyż zawsze, zawsze mam tęsknić daremno?
Przez liście olszy dnia jasność przyćmiona
Rzuca się łuną tajemną...

Nigdyż ustami nie dotknę tej czary,
Skąd wzrokiem tylko chwyciłam płomienia?
Cisza — w przepaściach szmer słyszę i gwary,
I drżę — od liści tych drżenia.

Dusza się moja westchnieniem rozwiewa
W ulotne błyski, i mroki, i dźwięki...
— Stój! słyszę nutę znajomej piosenki...
Nie! to las szumi, to drzewa!



VIII.

Ktoby mi to dał, o Boże!
Ktoby mi to dał,
    Aby pieśni moje były
    Nakształt złotych strzał!
I leciały w dal błękitną,
I leciały w dal,
    Gdzie bławatki modre kwitną
    Wpośród żytnich fal!
Nad ten ciemny bór szumiący,
Nad ten ciemny bór,
    Gdzie te chaty stoją czarne,
    I ten biały dwór!
Jedną chwyci noc i ciemność,
Jedną chwyci noc,
    Druga stępi o mur twardy
    Ostrza swego moc...
Może chociaż ta ostatnia,
Może chociaż ta,
    Co mi w piersiach drży i płacze
    I po nocach łka,

Wpośród naszych pól zoranych,
Wpośród naszych pól
    Utkwi w ziemi, by z niej dobyć
    Życia krzyk i ból!



IX.

O poranku szumią drzewa...
— Gdzie jest twoja wioska, gdzie?
Jaki teraz ptak tam śpiewa,
Jaki kwiat swe wonie tchnie?
Jaka bieda w oczy kole,
Jaką troskę przyniósł czas?
Czy już koszą nasze pole,
Czy po drzewo jadą w las?...
Jak się dymy z chaty wiją,
Jak w ognisku trzeszczą skry?
Jak tam ludzie czują, żyją,
Czy już oschły rosy, łzy?



X.

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną.
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
Rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzepocze gołębi,
I puchy kwietne, i nitki pajęcze...
I w takież skiby głębokie puść rolę,
I daj po bruzdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośno po łanie,
Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie,
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi,
I taką cichą błękitność daj wkoło,
pełne gwarów powietrze zrób ptaszych,
taki tuman na gór połóż czoło...
A tylko ludzi zrób — naszych!

XI.

Ach, ja w jesieni przestaję być sobą,
A jestem smutkiem, ciszą i żałobą...
I jestem listkiem drżącym na gałęzi,
Jestem mgłą bladą, co dnia jasność więzi,
Jestem pól nagich długim, pustym szlakiem,
Lecącym smutnie na obczyznę ptakiem...
Jestem przeciągłym po stepach powiewem,
Więdnącym kwiatem, obumarłem drzewem,
Jestem odbiciem gasnących promieni,
Splątanem pasmem lekkich, drżących cieni...
Jestem posępną chmur czarnych źrenicą,
I szarych godzin zmierzchem i tęsknicą.
I jestem lasów zdeptanych koroną,
Opadłych liści czernią znieważoną,
I brzózką białą, co w zadumie słucha,
Jak wicher świstem szyderczym wybucha...
Jestem konikiem polnym, który kona,
Rosą, co szronem błyszczy wysrebrzona,
Jestem zamglonem poranka spojrzeniem,
Rozstaniem jestem, i łzą i wspomnieniem...

Z drżącą topolą schylam w smutku czoło,
I listki marzeń rozsypuję wkoło,
Z spóźnioną pliszką piosnkę cicho nucę:
...«Do wiosny tęsknię! Do wiosny się wrócę!»...
Myśl moja w różne mieni się kolory,
Jak nasze gaje, i jak nasze bory,
Z trawą skoszoną do ziemi przypada,
I z gwiazdą senną rozświetla się blada,
Srebrem migoce w białej pajęczynie,
Z zagasłej róży tchem ostatnim ginie,
Z gniazdkiem zburzonem chwieje się i żali,
Z tumanem liści przepada w oddali...
I tak nad świata zamglonym obszarem
Leci, porwana dni jesiennych czarem,
Tak coraz słabszem tętnem życia dyszy,
I tak się gubi w przedśmiertelnej ciszy,
Taką tęsknotą napawa się, drżąca,
I tak się czuje wygnaną od słońca, —
Że, gdy ostatni liść z drzewa obleci
I wstaną duchy śnieżystych zamieci,
Ona, jak ptaszę zmilknie, sposępnieje,
I po kurhanach mgłami się rozwieje...



XII.

Stepie daleki, stepie zielony,
Ach, otwórz mi się jak drogie ramiona...
Niechaj polecę, ja ptak uskrzydlony,
Niech się rozpłynę w ciszy twej, stęskniona!

Tu, przy mnie, blizko, stań brzozo płacząca,
Tu, przy mnie, blizko, stań konwalio biała...
Niech się traw fala o pierś mi roztrąca,
Niechaj wiatr śpiewa, ja będę słuchała!

Nad głową nie chcę mieć nic, prócz błękitu,
Pod stopą tylko drobne, polne zioła...
Innego światła nie chcę, prócz gwiazd świtu...
Dajcie mi spocząć! — Niech nikt mnie nie woła!

Niech ja zapomnę, że gniotą mi duszę
Minione wieki posępną żałobą...
Niechaj zapomnę, że śpiewać wam muszę
Niechaj zapomnę, że muszę być sobą!

Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,
Niech mi cień nikły dnia jasność omroczy,
Z oddechu kwiatów, z łez zdroju utkana,
Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy!

Niech ja nie widzę walk, pełnych goryczy,
Wyścigów poprzez stratowane duchy...
Niech ja nie widzę, jak brat bratu liczy
Chleba i serca mizerne okruchy...

Ciszo ty błoga, ciszo ty stepowa!
Owiej mi czoło skrzydłami lekkiemi...
Niech zmilknie ludzki gwar i puste słowa,
Niech ja usłyszę oddech matki ziemi...

Stepie ty wolny, o stepie szeroki,
Daj mi się skąpać w obszarach bez końca...
Niech w białe pióra uderzą obłoki,
Polecę na nich do Boga, do słońca!

NASZE SREBRO, ZŁOTO

Kiedy zboża łan zakwitnie,
Gdy zachrzęsną kłosy żytnie,
Kiedy w modrą ranną ciszę
Pszenny dział się zakołysze
Jako fala poruszona
Od zagona do zagona,
To ci duszę załaskota
Pobrzęk srebra, podźwięk złota.

Szmer, a szmery... szum, a szumy...
Ot i w oku cień zadumy,
Ot i piosnka gdzieś daleka
Echem goni, łzą ucieka...
Z polnej gruszy kwiat opada,
Łan jak żywy z tobą gada...
Słuchasz, dumasz, by sierota,
Wpośród tego srebra, złota.

Ziemia czarna, zima długa,
Pot zalewa grządziel pługa,

Ani widu, ani słychu,
Kto łeb skręci temu lichu...
Już, już myślisz — nie dośpieje!
Już ci wicher rwie nadzieję,
Już ci w duszę rozpacz miota
O te łany srebra, złota...

Alić oto, z młodą wiosną,
Duch a siła w piersiach rosną!
Kiedy przejdzie się w zieleni
Majowego słonka ksieni,
Gdy się za nią śladem sunie
Smug za smugiem w złotem runie,
A z czarnego ziemi żebra
Tyle złota, tyle srebra...

Jużbyś nie rad z tego łana,
Gdzie ci kwiecia po kolana,
Gdzie nad tobą ciszę trąca
Skowronkowa pieśń dzwoniąca...
Jużbyś tylko wodził okiem,
Po tem polu, po szerokiem,
I wydychał dech żywota,
Wpośród tego srebra, złota!

Aż do samej, hen, jesieni
W oczach ci się pole mieni,

Co dnia na niem więcej chleba,
Co dnia kłosy bliższe nieba,
Co dnia miedza ciaśniej świta
Bławatami — na wskroś żyta,
I mak ledwo się migota
Z pośród srebra, z pośród złota...

Aż gdy rankiem brzękną kosy,
Wyschną w słońcu łzy i rosy,
Przepogodnym się błękitem
Niebo śmieje ponad żytem,
Już ci serce z smętku wskrześnie,
Polem pójdą nowe pieśnie,
Już ukoi cię pieszczotą
Nasze srebro, nasze złoto!

Już ci dusza poniewoli
Zapomina o złej doli,
O złej doli, czarnej roli,
O tej ranie co tak boli...
Już tym szumem urzeczona
Płynie, leci wzdłuż zagona,
Płynie, leci z swą tęsknotą,
Przez to srebro, przez to złoto!

Bogdajże mi takie drogi,
Takie drogi, taka zorza,

Coby wiodła w chaty progi,
Między pola, między zboża!
Bodajże mi rannym świtem,
Pod tym cichym stać błękitem,
U własnego z chrustu płota,
Wśród naszego srebra, złota!

NAD MORZEM

O niezmierzone! o morze!
Na twojej srebrnej harfie nie śmiem złożyć dłoni,
A pochwycona czarem, jaki pieśń twa roni,
W milczeniu ducha się korzę!
Z zamglonych wieczności progów
Idziesz, jak idą czasy, konieczne, niezmienne;
A fale twe, lecące, jak ptaki bezsenne,
Widzą skon ludów i bogów.
Tragiczne strofy twej pieśni
Słyszane były w wieków konających łkaniu,
I znów będą słyszane w stuleci zaraniu
Gdy ziemia noc swoją prześni.
Od dzikich gwałtów okrzyku,
Do mglistych westchnień lutni pod ręką Bajrona,
Ludzkość, tysiącem nędz swych smagana i łżona,
Skarży się w twoim języku.
Pieśni twej — kto zna poczęcie?
I kto będzie dość wieczny, by czekać jej końca?

Na okręgach księżyca i na jądrze słońca
Położył Pan jej pieczęcie.
O jakże gorzkie jej słowo!
Gdyby ludy, słuchając, pojęły jej dźwięki,
Jak przy skończeniu świata powstałyby jęki,
Muzyką Jozafatową!
Bo nie przeminął od wieka
Ani jeden z tych słabych, co krzywdy doznali,
Żeby jego wołanie nie grzmiało w tej fali,
Jako ślad nędzy człowieka.
Lecz teraz jest to zakrytem,
Dla małości dusz naszych, które chcą spocznienia
I usypiają, nędzne, pośród krwi i cienia,
Jako pod jasnym błękitem.
A gdy się czas ten dokona,
I sprawiedliwość weźmie berło swe na ziemi,
Pójdzie dreszcz sądów bożych falami morskiemi,
I otworzą się wód łona.
Wtedy pieśń twoja, o morze,
Z przeraźliwą jasnością w słuch ludów uderzy...
I zdumieją się ludy, i pójdzie wiew świeży
Po ziemi całej przestworze,
Po ciemnych głębiach żywota.
I nazwie ziemia pieśń tę — spowiedzią stuleci.
I podniosą się narody,
Wiekuistym przypływem ducha-wskrzesiciela,
I ucichną twe jęki, i pieśni wesela

W błękit podniosą twe wody.
Lecz dziś, o morze! twe szumy
Nieukojone płaczą nad nędzą ludzkości!...
I ja płaczę wraz z niemi...

. . . .



W PIWNICZNEJ IZBIE

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury.
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

— «Moja mateńko! Moja rodzona!
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
I widzą het... obłoki?»
— «Oj widzą, synku, wszyściuśko widzą,
Caluśki świat szeroki!

Oj widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,

Widzą, jak słonko idzie do morza,
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak rodzi ziemia czarna...

Oj widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną»... —

— «A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?» —

— «Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne». —

— «To i Pan Jezus bliżej być musi,
I patrzy na te dzieci...
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci»... —

. . . .

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta...
W gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta

«Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?»
— «W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa!
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa...

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną...

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie...

Od spodu słoma jak trzcina stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!

A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie!

A jęczmień, to ci taki wąsaty!
A gryka taka miodna!
A lny — jak niebo... a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni...
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni».

. . . .

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

. . . .

— «Moja mateńko! Moja rodzona!
A jak tam na tej łące?» —
— «Na łące, synku, to trawy rosną,
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,

A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem okiem mruga...

A po mokradłach bocian szczudłuje,
I żaby dziobem bierze...
A skowroneczek do Boga leci,
I śpiewa swe pacierze...

A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska...
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska...

Brzeżkiem, nad rowem, złocieniec rośnie,
I wierzba na fujarki...
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki...

A po przydrożku, pod leśną ścianą,
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą»...
. . . .

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha,
Z wilgotnej, brudnej pleśni...

A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni...

. . . .

— «Moja mateńko! Moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?»
— «W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie!

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach...

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że — gdzie!... i ksiądz sam niéma
Na Boże ciało, na procesyi,
Takiego baldachima!

Dęby a jodły, jako te wieże,
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają...

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,

A dzień się przez nie, jak sitem, sieje
I patrzy złotą rzęsą...

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoją
I pachną leśne wiśnie...

A jakie to tam gniazda są ptasze,
Furkania a szczebioty!...
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty!

A co tam żuczków, a muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka, a naszczekuje:
— A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła...
Bo smółki topną i mirrę sączą,
I zdrowiem tchną tam zioła»...

— «A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy, tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie»...

— «Oj ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
Jak ten wróbelek lichy...

Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją główeńkę
Zakopać w dołek czarny!»

. . . .

— «Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Możeć się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda?»

— «Oj są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne, a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecone...

Oj są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!»

— «A jaż, mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściuśko, co mówicie?
One to ptaki w lasach grające,
One zajączki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?»
. . . .

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny,
Jako ta czarna dola...
— Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?



Z TAMTEGO ŚWIATA

DO TRYPTYKU PRÓSZYŃSKIEGO

I.

NA CMENTARZU.

. . . .

...Mateńka moja w chacie sumuje,
Mateńka moja tęskni a płacze...
Wstanę, taj nockę jedną znocuję,
Moją rodzoną chociaż zobaczę...

Oj, nie tak jęczą zielone knieje,
Kiedy zuzula kuka nad niemi,
Jako mateńka moja żaleje,
Że mnie oddała tej czarnej ziemi...

Oj, nie tak gorzkie piołuny siwe,
Nie taka rzęsna ruta na grobie,
Jako mateńki łzy żałośliwe,
Gdy swe sieroctwo rozpomni sobie...

Na tę mogiłkę z żółtego piasku,
Kamieniem każda łza jej upada...
Wstanę, taj pójdę w miesięcznym blasku,
Może posłyszy... może zagada...

Ogieniek jakiś w piersiach mi tleje,
Żywy dech nawskróś przewiewa kości,
Nim świt oświtnie, nim dzień odnieje,
Wstanę, taj pójdę w onej jasności...
. . . .

Jaki świat widny! Jaka noc cicha!
Jak krzyże skrzypią, skrzypią, a jęczą...
Jak macierzanka po grobach dycha...
Jak mgła się winie przędzą pajęczą...

Na tych lipowych wiórach w trumience
Stargałam sobie splecione włosy,
Ścierpły mi nóżki, skostniały ręce,
A oczy pełne gryzącej rosy...

Giezłeczko mi się lniane powija,
Surowa ziemia ciąży mi na niem...
Wynikłam z grobu, niby lilia,
Wyblechowana tem długiem spaniem!

Oj spanie, spanie, ciężkie powstanie,
Z tych czterech desek, z zimnej pościeli...
...Wstanę, taj pójdę cieniem po ścianie,
Gdzie matuś płacze u swej kądzieli!
. . . .



II.

W CHACIE.

MATKA.

To i zaduszki! W Imię Ojca, Syna...
Ot, u mnie teraz codzień takie święta! —
Poszła już moja złocista dziewczyna...
Już przeminęła, jak trawa pożęta,
Jak ta kalina kwitnąca i biała,
Jako ten kłosek jasny...
— Nie uśpiała
Ani lnu doprząść, ani przędzy zwinąć...
Jak tej jagodzie, tak przyszło jej zginąć,
Jak tej jagodzie leśnej...
Dolo, dolo!
Nie płyniesz morzem, nie idziesz ty lądem,
Ale po ludziach idziesz boskim sądem,
Ale się kopiesz, jak kret, krwawą rolą,
Nawskróś przez serce...
— A jaka noc głucha,
Ani żywego tchu! A miesiąc stoi

W samem okienku... W Imię Ojca, Ducha...
Czy drzwi skrzypnęły, czy mi się tak roi,
Z onej żałości?

(nasłuchuje chwilę, potem przędzie)

...Sen mara, Bóg wiara.
Wiń się wrzeciono, wiń nitko ty szara...
Łzami ja ciebie poleję gorzkiemi,
Wybielę ciebie na czarnej tej ziemi,
Potem zgło utkam, nakryję niem ławę,
I siądę na niej, i oczy te krwawe
Wypłaczę z głowy...

(sen ją zdejmuje)

DZIEWCZYNA.

Mateńko, Mateńko!
To ja!... Marychna... Maryś...

MATKA *(usypiając)*.

Bieluteńko
Dziewczynęm moją do trumny odziała...
Trumna lipowa, giezłeczko cieniuchne,
A onaż sama, jak śnieżek ten, biała...
I tak ją w bieli układłam, jak druchnę...
Jakby do ślubu... Warkoczki jej płowe
Pięknie uplotłam... Wianuszek na głowę,
Na piersiach wiązka ziela, a u nóżek
Snop jaskrów złotych i modrych ostróżek.

A co jej z tego?... Ot matki głupota!
Wzięli trumienkę... wynieśli za wrota...
Och, od kamienia cięższa ja sierota!

(usypia)

DZIEWCZYNA.

Mateńko, spojrzyj na mnie! Przemów słowo!

MATKA *(we śnie)*.

Och!... Och!... Och!...

DZIEWCZYNA.

Trumnę rzuciłam lipową,
Z pod ciężkiej tu się wyrwałam mogiły...
Pan Jezus pomógł... Pan Jezus dał siły...
Mateńko moja!...

MATKA *(we śnie)*.

Jakbym się patrzała
Na nią, na Maryś moją! Taka biała,
Jak ten opłatek... A rączki złożone,
Jak do pacierza... O dziecko rodzone!...
Marychna!...

DZIEWCZYNA.

Ja tu, mateńko! Tutaj!... Tu mnie macie!...
Przy was tu... blizko... Mateńko jedyna!...

MATKA *(budzi się)*.

Wszelki duch!... Ot sen! A wiatr od komina
Jęczy, jakby kto płakał... A po chacie,
Jakby kto chodził...
— W Imię Ojca, Syna...
Jak ten pies zawył!... O Jezu ty Chryste,
Jak ten pies zawył!... Światło wiekuiste
Niechaj im świeci!... Wieczne odpocznienie!...
Jak po tych kątach ruszają się cienie...
Ot sen!... *(przędzie)*
Już chyba latoś nie oprzędę
Pacześnych pakuł. Co stanę, co siędę,
To i zadrzemię... Ot starość!... Ni śpiewki,
Ni to wesela... Indziej, to tam dziewki
Pieśni wywodzą... A tu... Niemasz doni!
Cichość ci taka, aż w uszach coś dzwoni...
(przędzie)

DZIEWCZYNA ŚPIEWA.

(śpiew echowy)

W gaju, na rozstaju, zakwitła kalina,
U mateńki w chacie młodziutka dziewczyna
Och!

MATKA.

Jezu, Marya! Co to? Izba cała
Pełna śpiewania... Tak jakbym słyszała

Marychnę moją! Ten głosek jej szklany...
Skowrończy głosek... (*nasłuchuje*)
Ot, pewno z za ściany...

DZIEWCZYNA (*śpiewa*).

Zabielił się ranek kwitnącą kaliną,
Cieszyła się matka córuchną jedyną...
Och!...

MATKA.

Aż w sercu boli, takie to śpiewanie
Żałosne!... Jakby nóż obracał w ranie...

DZIEWCZYNA (*śpiewa*).

Przyleciał zły wicher, połamał kalinę,
Pochowała matka młodziutką dziewczynę,
Och!...

MATKA (*płacze*).

Och! Och! Och!... Nędznaż, nędzna moja głowa!
Tak odleciałaś, jak gołąb ze strzechy!
A któż mię teraz sierotę pochowa?
Kto rozweseli, kto doda pociechy?
Kto i zapłacze razem? Och!

(*Głos echowy*).

Och!...

MATKA.

Ściany

Gadać się, ato, ze mną nauczyły,
Z sierotą starą, co nijakiej mowy
Niema dziś z ludźmi... Jak ten kłos jałowy,
Albo ten kamień w polu oborany,
Albo pień zeschły, co go burze zbiły...

(przędzie)

Tak mi na oczach stoi jakby żywa...
W onym wełniaczku modrym, w tej chustczynie...
To się, bywało, po izbie uwinie,
Przyniesie wody, nałupie łuczywa,
Po za obrazy bożego ci drzewka
Natknie... to chlebek, jak słonko zaczyni...
Oj, coby to z niej wyrosła za dziewka!
Coby to była z niej za gospodyni!

(przędzie)

Drugi raz człek i zaspał na pościeli,
A ona z ławy fyrk!... Jak ten skowronek!
Ledwo się zorza w okienku zabieli,
Ledwo, że kury zapieją na dzionek,
Splecie warkoczyk i już u kądzieli...
Jak ten pająćzek przędła cieniuteńko!
A w mowie swojej taką słodkość miała,
Jak miód... Mateńko, mówi mi...

(Głos echowy).

Mateńko!...

MATKA.

Jezu, Marya! Jakbym ją słyszała...
Czy mi co w duszy gada? Czy z miesiąca
Idzie tak światłość wielka i grająca,
Na ten świat boży?
(słychać dzwony)
A ot, w dzwony biją,
Za dusze zmarłych... Oj dzwony, wy, dzwony!...
Nie pójdzie głos wasz w cztery świata strony,
Nie ruszy płacz wasz wszystkiego, co żyje,
Bo nie matczyne serce u was bije,
Ale żelazne! *(przędzie)*
Ot, ledwo się zwija
Nić w starych palcach...
(modli się szeptem)
A zdrowaś Marya,
A łaskiś pełna...
Ot, oczy się kleją...

DZIEWCZYNA.

Pan z tobą...

MATKA.

Jakby głosy jakieś wieją
W izbie... coś szepta...

DZIEWCZYNA.

I błogosławiony
Owoc żywota...

MATKA *(usypiając).*

Dawniej Maryś moja
Mawiała ze mną wieczorne pacierze...
A przyjdź królestwo... A bądź wola twoja...
Het, precz wszyściutko, Ojcze nasz i Wierzę...
I dziesięcioro... O moje miliony!
Moje dzieciątko! *(zasypia)*
(we śnie) ...Daleko... daleko...
Za trzecią górą, za siódmą gdzieś rzeką,
Dziewczyna moja w mogiłce swej leży...
A na mogiłce miesiączek się śnieży,
Niby szron ranny...
A krzyże, taj krzyże!
Co ich odejdę, to znów się przybliżę...
Jeno czernieją w tej sinej jasności,
Co ją ta nocka na ziemię przesiewa
Przez srebrne sito... A cichość aż śpiewa...
Aż brzękiem idzie...
— A Anioł ten Pański,
Co go to na wsi pod zorzę już dzwonią
I w polach mówią klęczący na rosie,
Z kosą, z grabiami, zwyczajnie, jak prości,
Otwiera groby...
A słowo stało się!
Och! oczy moje, oczy!... Groby ronią
Jakby gwiazdeczki modre!... Świętojański
Robaczek pełza świetliście na piasku...

Jeden... dwa... dziesięć...
Co blasku, co blasku!
Niby motyle, a niby dziewanny,
Trzęsące liściem polnym... Chryste Panie!
Jakie to światło i brzęk nieustanny!
Jasność aż ślepi...
A niech mi się stanie!...
Toć to duszyczki one! Toć dzieciątka
Do matek lecą, a lecą, a płyną...
Każda bieluśka taka, jak ta łątka...
Jezu!... Marychna! ... A mojaż dziewczyno
Złocista!...
Tutaj, tutaj... Tu do chaty!
Jezu, jak leci! Ogieniek skrzydlaty!
Ptaszyna moja złota!... Drzwi otworzę...
O słonko moje!...

DZIEWCZYNA.

O Matko!... Mateńko!...
Do nóg ja twoich...

MATKA.

Boże, ty mój, Boże!
Dziecko ty moje!...
A jaka ty biała!
A jaka zimna!
Ot, to się wyspała!
A stara matka przędzie tu, a przędzie,

I z każdym zmierzchem, i z każdą jutrzenką,
Duma, a duma, co było, co będzie...
A ot ty znowu tutaj!
...Miłosierny,
O miłosierny jest Bóg ten nad nami...
A stańże mi tu, wprost szybki!
Ot, blada!
A mój ty lichy robaczku mizerny,
Ze złożonemi na piersiach rączkami!...
Ot, tak mi postój, ot tak! Łuna pada
Od tych obrazów jasna i różana,
I liczko krasi...

DZIEWCZYNA.

O matuś kochana!...

MATKA.

I jakże ci tam?

DZIEWCZYNA.

Oj, dobrze matuchno!
Chłodno, a chłodno, a cicho, cichuchno,
Że ani serce w piersiach zakołata...

MATKA.

A śni ci się też coniebądź?...

DZIEWCZYNA.

Śni... chata!...



III.

Z POWROTEM.

. . . .

I odeszła, rozpłyniona
W blaski księżycowe...
Na powietrzu jej ramiona,
Jasna kosa rozpleciona
Opromienia głowę...

Płynie polem, płynie siołem,
Nie dotyka ziemi...
Miesiąc srebrnem śnieży kołem
Nad jej cichem, martwem czołem,
Nad szatki lnianemi...

Modre oczy jej zamknięte
Widzą wnętrze chaty...
Obie rączki wniebowzięte,
Jakieś moce biorą święte
Z miesięcznej poświaty...

Przed nią mgła srebrzysta płynie,
Za nią tuman siwy...
Otwierają się dziewczynie
Lazurowe skroś pustynie...
Przebłogie dziedziny...

Nim oświtnie, nim odnieje,
Zamknie ją mogiła...
Ale teraz promienieje,
Bo nie płacze, nie żaleje,
Jej mateńka miła!



SPIS RZECZY.





